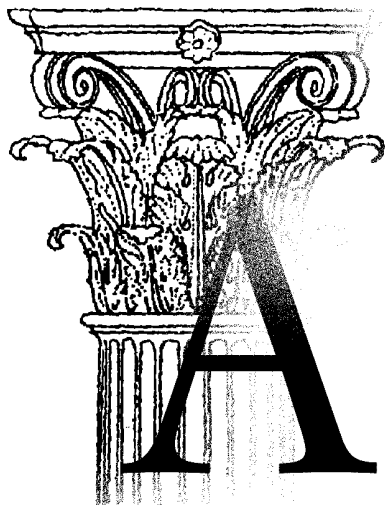
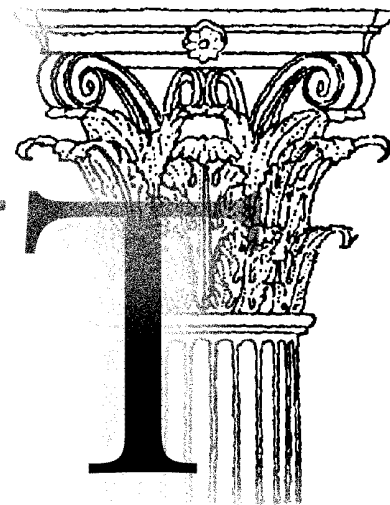




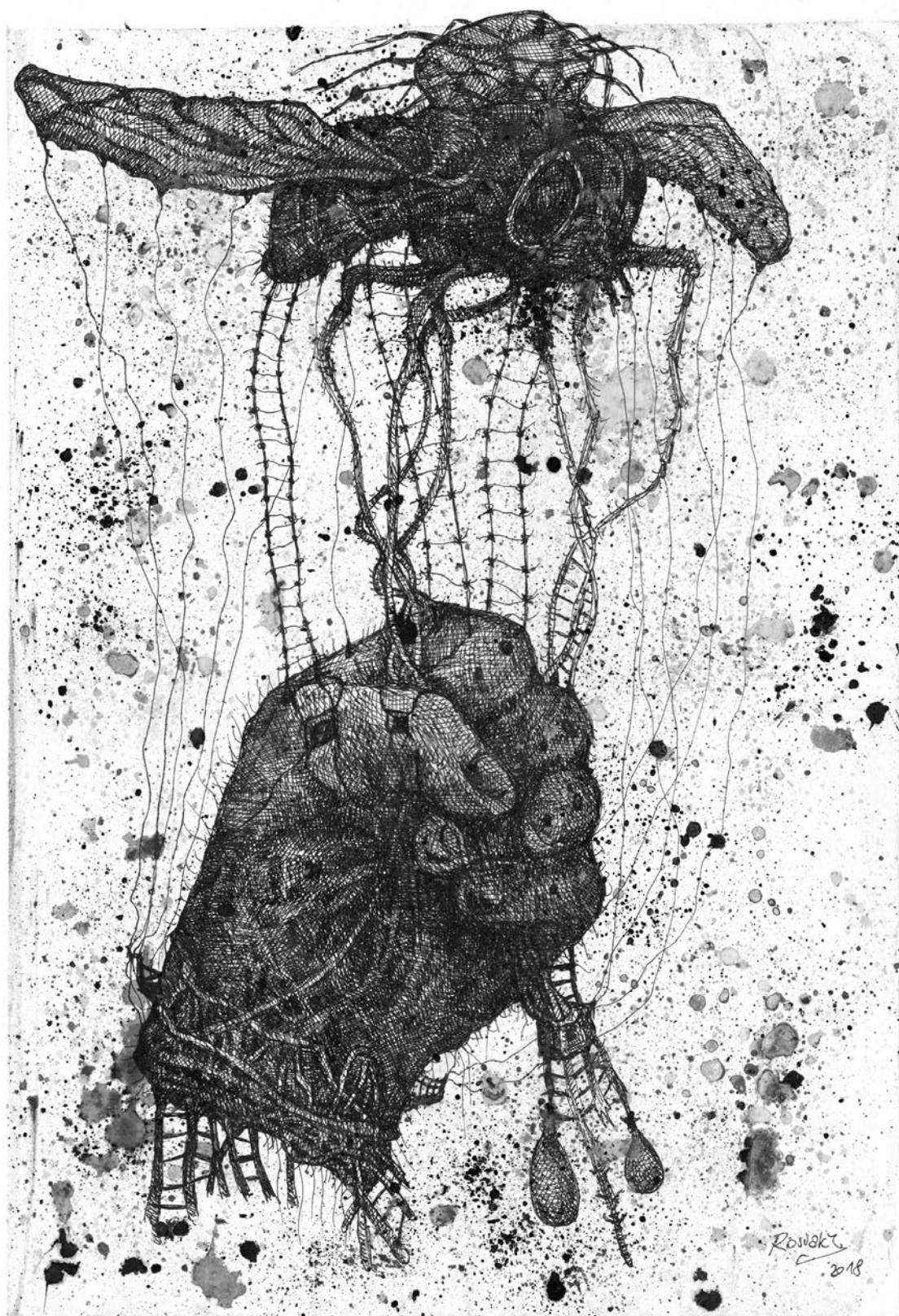
MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 9 (373) Rok XXIX WRZESIEŃ 2026 cena 10 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Jacek Rosiak Sztuka latania

Bogusław Michalski

Dźwigacze

Zatrzęsło fest, a potem zakołysało, już znacznie łagodniej,
ale i tak tryknęliśmy w siebie łbami.
Drewniana ławka furgonu zgrzytnęła, a spod niej
uniósł się puchaty kurz. – *Wysiadamy!* –

ktoś krzyknął i wnet zasłonił usta przed haustem
powietrza nasyconym zapachem krów, choć przecież
nikt tu wcześniej nie woził bydła. – *Dalej z tym
marasem, nie będziemy tu śleźć*

do wieczora! Patrzyliśmy na plac pełen
cegieł: przyzmy od bramy po dwa niskie budynki i komin,
za którymi zaczynała się wełnista łąka, gdzie zieleń
brała połysk z popiołu i dymu. Zaskomlił

pies przy nodze stróża, a ten kazał czekać u drzwi
kanciapy aż przyjdzie szef z papierami. No więc
rozprostowaliśmy kości, wyciągnęli szluki
i jeden drugiego zagadywał: – *Powiedz,*

*jak poszło ci z tą lub tamtą? To poważna
sprawa?* Ach, jedna z drugą przecież nie istniały,
to trochę jak umawiać się we śnie, bo każda
z nich była wszak snem, ciągiem sylab godnym jakiegoś chorału,

stąd ich podwójna wartość, bo nie nam dowodzić,
że nie istnieje zmyśłone. Pomarańczowy pył znaczył
bruzdy na rękach i czole; i ten budził największy podziw,
który miał tych szram najwięcej wśród wszystkich dźwigaczy.

Załadowaliśmy cegły; poszły pewnie ze trzy albo i
cztery kursy. A potem zmordowani siedliśmy nad kanałem
nieśpiesznym, czarnym, z nieswoich cegieł swój wznosząc dom,
by ukoić jakiś żal, niemal rozpacz. Słowem świat dźwigaców wyrwał.

Norbert Budzyński

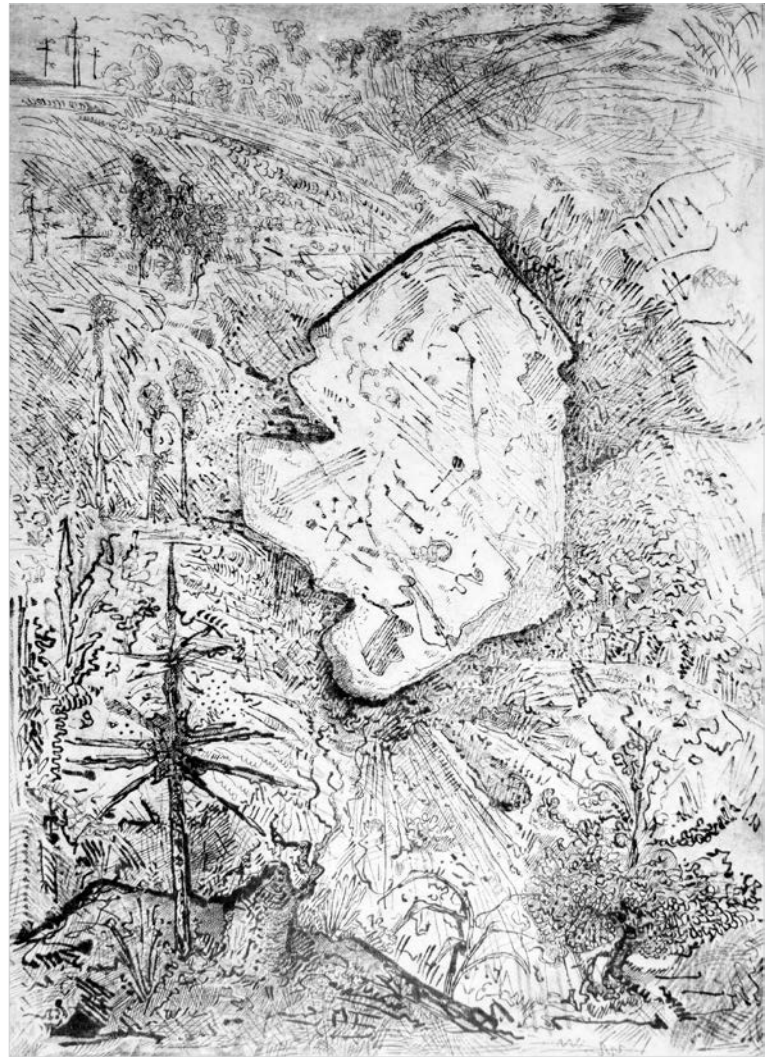
Gotowość

Dziewięć miesięcy, czasem krócej i proszę, oto jest
kolejna historia do gazet
Chciałam wierzyć, że może tym razem będzie inaczej
że te kwiaty, obietnice, to naprawdę
a tu kolejny bachor
W poprzednim życiu musiałam być bardzo złą osobą
bo jak inaczej wytłumaczyć to wszystko

Pan zdaje mi się jest dobry człowiek, rozumie pan drewno i ludzi
że panu tak się chce do nas; raz, dwa razy w tygodniu
Mnie to by się nie chciało

Powiem panu w tajemnicy; te nowe lekarstwa chyba nie działają
Opuszczę ten świat łagodnie, żeby nie robić problemu

Poda mi pan włóczkę? Może być ta niebieska. I jeszcze żółtą
Muszę podokańczyć czapki, rękawiczki
pozamawiali, że nie wiem czy do świąt się wyrobię



Mariusz Stanisławczyk *Ciężar Kalwarii - sucha igła*

Sławomir Krzyśka

Jeszcze

Miejsce bez śladów,
nie ma ścieżek.

Nie zdążyłeś nazwać niczego,
podzielić, zabrać.

Kamień nagrzewa się w słońcu –
jeszcze.

Nie naruszyłeś oddechu ziemi.

Wojciech Trzciński

Stosy pokutne

Przebudził się
Patrzył na stoły pełne mięsa ciasta i wina
Więc jadł kęsy w tłuszczu daktylach i krwi
Więc pił z najlepszych stoków atramenty
Aż puszczał gazy i jadł dalej bo głód
Potem weszły kobiety pełne w biodrach
Więc zanurzał palce w ich ciele
Więc ssał ich wargi oczy i ślinę
Wtedy odpoczął czuł się wybrany
Okazało się jednak że nie ćwiczył serca
Na końcu został sam nici zerwano
Patrzył na pustynię piasku i żaru
Więc leżał wył i ssał kamienie
Więc sypał piach w oczy i kurz na głowę
Aż w końcu spalony wiór
Umarł i wówczas nagle
Przebudził się

Czystość

Umył ręce, dosłownie. Coraz częściej mył ręce, ale wcale nie widział, żeby były bardziej czyste, a czyste intencje i przepływy też nie wystarczały, nie ukrywały swoich powodów. Czyste były tylko przed myślą, kalkulacją, planem.

Ubrał się, a właściwie rozebrał i ubrał się na nowo, czyściej, inaczej, w kolorach niebiesko-brązowych, jak wilgotna ziemia na tle czystego nieba. Wyszedł na słońce, a czuł jakby słońce wyszło na niego, w ciągłej obecności kłującego kontrastu i przejawskrawień. Umysłnie czuwał nad każdym parametrem, parafrazą, a umysł kontrolował koordynację jednoczesności, w oderwanym przeświadczeniu kolejnego dnia, dnia co znowu nieczysto przebiegał. Mówił do siebie szeptem, chcąc się oczyścić, przekonać do prześwietleń, choć mimowolnie uciekał do suchego cienia. Tam tonował obrazy w pastelach, ukrywał się, czekał.

Upatrzył sobie antracytowe kawki, co wścibskie po trawniku, w parach lub jeszcze z sąsiadkami, uparcie przeczesywały każdy zakamarek w mozolne dziobanie porzuconych resztek i w śmiertelne zaułki zabłąkanych owadów, jak kamerdynerzy dżdżownicowych siedlisk. One gadały do siebie krótkim, gwizdzącym szczekaniem, wciąż świdrowały turkusowymi oczami i nic nie umykało ich uwadze.

Ja, ty, kawka, naszych nieszczęść huśtawka, w rozmowach wciąż o tym wszystkim, wczoraj, kiedy jeszcze razem, ruchem wahadła na dół, w zatrzymanie i nie ma horyzontu zdarzeń.

Długo siedzi w cieniu, przed nim, na ściętym pniu starej sliwy, letnia kawka, nie słodzi, nie miesza, milczy.

Marek S.Podborski,
liryaakantu@gmail.com

Krzysztof Gołębiewski

Na krawędzi oddechu

Powietrze gęstnieje
w przełyku
obraz traci krawędzie
pod naciskiem rzes

Wyznanie
mówione ciszej niż myśl
kiedy krew odpowiada
nie rytmem
a bezwładem

Cienie przesuwają się
o ułamek oddechu
ciało powtarza jedno
niedokończone
o —

Stara kanapa
zna ten ciężar
—

zapada się
gdy szept pęka
i zostaje tylko czysty
dźwięk

Jarosław Kapłon

Bezbrzeżność

czasem stoję na brzegu.
patrzę w niebieski bezkres.
piasek otula stopy,
zostawiam w nim ślad.

liczę fale —
a potem lecę wśród mew.
nie po to, by gdzieś dotrzeć,
lecz żeby zapomnieć. choćby na chwilę.

morze nie pyta, skąd przychodzi.
nie dziwi się mojej obecności.
woda wraca i wraca —
jakby wszystko, co odpłynęło,
musiałoby kiedyś powrócić.

nie próbuję tego zrozumieć.
stoję. oddycham.
zanurzam dłoń w słonym powietrzu.
niczego nie szukam.

te chwile są jak nieobecność,
która pozwala być.

Marek S.Podborski

Pożoga

Pali się świat
ja chciałem ty chciałaś
my chcieliśmy
Pali się świat
krwawą purpurową zorzą
w oknach gęstnieje luna
Pali się świat każ
dym oddechem
płonie

Katarzyna Dominik

Wyjście

spakowane milczenie
złożone starannie
sukienka na dnie walizki
odciski dłoni
w powietrzu kurz
ostatni gest
ciasny oddech
impulsy włókna
iskry

pod skórą zamykam okna
zasłony w źrenicach
obieg zdarzeń
i imion

Natalia Grudzień

Tak po prostu wsłuchać się w śpiew

Klaksonu i ryku silnika co
hamuje z piskiem opon bo
przecież wiercą mu
w brzuchu tak że chce się wymiotować

To tam dęby rodzą się wraz ze
Stukotem tramwaju
Pod ziemią dudnią i wiercą
Wykorzeniają im język
Co poprzerał sieci trakcyjne

Na szynach właśnie przecięli
Mu żyły

Michał Łukowiak

Po ptakach

Przyszło niespodziewanie.
Najpierw zerwały się ptaki.
Dopiero później ja.
Po ptakach.

Marcin Siłwanow

Gdybym to ja był stwórcą
stworzyłbym jeden świat
żeby człowiek
nie miał dokąd uciec

Roślin stworzyłbym tyle
Żeby na chleb starczyło, herbatę
Na co komu
przesada raflezji

Zwierząt tyle
żeby skóra, mięso i mleko
więc krowa
nic więcej

Człowieka bym stworzył
płci jednej
bez serca
roztumu tyle, żeby pamiętał
drogę do domu
i do mnie

Z uczuć
wystarczyłby strach
wtedy żadne kolano
nie wyprostuje się
nigdy

A gdybym wymyślić miał eden
wąż nie trzymałby jabłka
lecz lustro

Poetycka Bydgoszcz z wybrzeżowej perspektywy



Mówiąc z wybrzeżowej perspektywy o poezji bydgoskiej, nie uniknę perspektywy osobistej, co mimo wszystko jest zrozumiałe. Wszak tak tworzenie wiersza jak jego czytanie to przecież zajęcia bardzo osobiste, a nawet intymne. Dodatkowo weźmy pod uwagę, że systematycznego przeglądu bydgoskiej poezji nie tak dawno dokonał Paweł Skutecki, autor praktycznego przewodnika *Poezi znad Brdy*. Wyjaśnię jednak, że moja sopocka, czy wcześniej gdańska, perspektywa lekturowa, na początku wcale taka nie była. Pochodzę bowiem z Nowego nad Wisłą, skąd nad Brdę było bliżej, a podróże do Bydgoszczy bywały częścią mojej licealnej nauki i to z początku bardziej nawet muzycznej niż literackiej. Bo to tutaj odwiedzało się filharmonię z prawdziwego zdarzenia. Potem oglądało się sztukę nowoczesną w BWA. Później zaś szło się na książkowe łowy do księgarni „Współczesna”.

Nie przesadzę, kiedy powiem, że Bydgoszcz zawdzięcza swoją pierwszą edukację kulturalną. A do tego jeszcze w „Gazecie Pomorskiej” przeczytałem kiedyś o działalności Galerii Autorskiej Jana Kaji i Jacka Solińskiego. Wtedy mi się zamarzyło, by ją kiedyś odwiedzić, wszak intuicyjnie czułem, że dzieją się tam rzeczy dla literatury i sztuki ważne.

Swoje marzenie spełniłem po ćwierćwieczu, latem 2017 roku, kiedy promowałem zbiór wierszy **Franciszka Kameckiego**, poety i duszpasterza, na początku ósmej dekady XX wieku posługującego w Fordonie. Lecz droga w bydgoską stronę prowadziła mnie przez Sopot, gdzie wiosną 1993 roku ukazał się pierwszy numer „dwumiesięcznika o sztuce i ekologii” – „Toposu”. „Toposowe” środowisko szybko zacieśniło więzy z literacką Bydgoszczą. Początkiem zaś mojej więzi stało się omówienie podebiutanckiego zbioru wierszy **Roberta Mielhorskiego** *Weneckie okna*, napisanego w roku 1994. Mieścił on wiersze głęboko zanurzone w tradycjach kultury, ale i subtelnie nastrojowe. Wówczas, zgodnie z kryteriami zarysowanymi przez Karola Maliszewskiego na łamach „Nowego Nurtu”, poezję taką za-

liczano do nurtu klasycyzującego. Natomiast kolejny zbiór tego samego autora, czyli *Inicjały* (1997) pokazał, że był to klasycyzm cokolwiek melancholijny. Jednakże już niebawem redaktor naczelny „Toposu”, wręczył mi z prośbą o zrecenzowanie wybór wierszy **Kazimierza Hoffmanna** *Przenikanie*, zaznaczając przy tym, że to jeden z najwybitniejszych poetów polskich. Sąd ten początkowo przyjąłem z rezerwą. Ale *Przenikanie* głęboko przeniknęło do mojej wyobraźni i ułożyło się w figurę poetyckości *par excellence* – obrazowej, zintelektualizowanej, ale zapraszającej do dialogu (trochę po norwidersku – bo jak się zdaje – autor *Vade-mecum* był Hoffmanowi bliski); poezji, która potrafi zaabsorbować tak sytuacyjność jak medialne newsy; wpatruje się w naturę i sztuki wizualne. Z tego ostatniego wpatrzenia wysnuwał Hoffman ekfrazy nawet wtedy, gdy odnosiły się do dzieł, które dziś nazwalibyśmy wirtualnymi.

Nieco później przyszło mi się pochylić z recenzenckim piórem w rękę nad tomami znacznie od Hoffmanna młodszego **Piotra Cielesza**. Poety obecnie związanego z Gdańskiem, ale przecież urodzonego i debiutującego w Bydgoszczy. Przez kilka lat pracował tutaj jako dziennikarz tygodnika „Fakty”. I wreszcie – tutaj ukazały się trzy jego ważne tomy *Ikony rodzinne*, *Jeszcze maleńka Europa* oraz *Trzy źródła*. Do tej listy dopisałbym jeszcze jeden tytuł, bardzo prościutki – *Kochanie*, przepiękny poemat miłosny. Jednym skrzydłem dyskursu poezji Piotra Cielesza jest refleksja nad dwudziestowiecznymi losami europejskiej cywilizacji, drugim – powrót do białoruskich korzeni, który dokonał się w czasach, gdy o literaturze małych ojczyzn nikt jeszcze nie myślał.

Po tych trzech nazwiskach wypada mi wymienić **Wojciecha Banacha**, pustelnika z trzeciego piętra, autora. Warto zapamiętać jego tomy *Śmierciochron* czy *Warkocz*, ale prawdziwy mój podziw wzbudził jego *Mecz z realem*, który swoją rozgrywkę z rzeczywistością doprowadził do końca, stawiając odważne, ale i bolesne diagnozy, tak dotyczące historii, jak spraw jak najbardziej aktualnych. Przy okazji wypada mi

wspomnieć, że autor *Śmierciochronu* został także wzruszająco przywołany przez Małgorzatę Grajewską na kartach książki, która dzisiaj znajdzie się w centrum naszej uwagi.

Ten pobieżny z konieczności i subiektywny przegląd warto uzupełnić o postać **Joanny Gładkowskiej-Rosińskiej**, która zwróciła moją uwagę wierszem „Dziewczyna przy oknie”, a następnie zbiorami poezji pełnych lirycznej urody, gdzie z czułością i delikatnością podejmuje trudny temat rozmiłowania się ludzi w życiu.

Wszystkie przywołane nazwiska pokazują, że poezja bydgoska różnymi mienią się barwami, widocznymi z daleka. Tworzą one tło, na które rzucimy teraz światło wierszy **Małgorzaty Grajewskiej** i **Bartłomieja Siwca**, bohaterów naszego spotkania.

Punktem wyjścia dla lektury zbioru Małgorzaty Grajewskiej proponowałbym uczynić tytuł jej poprzedniej książki *Obecność, prawie czułość*. Bo podmiot tych wierszy z czułością myśli o swoich lirycznych bohaterach i pragnie ponownie ich uobecnić. Realizuje to pragnienie najlepiej jak potrafi, odwołując się do magicznej funkcji poezji, do rytualnej funkcji poetyckiego słowa. Zbiór *Zawołaj mnie* jest przywoływaniem minionych ludzi i minionych chwil. Swoistym katalizatorem tych wierszy stały się dokumenty rodzinnego życia i rodzinne dzieci, zwykle odległe o dwa pokolenia, dzieci przecięte cezurą wojennej tragedii. Odprawia tu poetka, do czego się otwarcie przyznaje – własny obrządek Dziadów. Przywołuje, zaklina, rzec by można, wylawia swych minionych bliskich z rzeki czasu. Czyny to w tym momencie, gdy oni sami stali się już tą rzeką, jej brzegami, jej nurtem i powoli zaczęła się już zacierać, rozmywać ich osobna tożsamość. Przeto ich przywoływanie łączy się tu z ich wskrzeszeniem lub reintegracją tych co przeszli już w inny wymiar własnego losu, pozostawiając po naszej stronie istnienia cierpienie, nieszczęścia, utraty, rozstania, marzenia i miłość. O tym, co tutaj pozostawili wiemy najwięcej. W takim nieustannym nawiązywaniu więzi coś z tajemnicy świętych obcowania. Z przedwcześnie zmarłym na gruźlicę Maksymilianem, z panną Helą poważnie wpatrzoną w obiektyw aparatu, z Zofią od paprotki, z rodziną babci pochyloną nad maszyną do szycia, której kolisty ruch napędzając okrąg ziemi poniekąd moderuje ruch czasu. Lecz rychło w kadrze wiersza pojawia się osoby pozornie tylko przypadkowe – pielgrzym sfotografowany w Potulicach, cygańskie kobiety, pracownice folwarku. Postacie niby anonimowe, bez imienia, bez nazwiska, ale mimo wszystko godne ponownego istnienia – może trochę znikliwego świetliście wrażliwego, wbrew złu, wbrew grozie przemijania. Właśnie konsekwencja, upór uobecniania i czułość dla egzystencji zanurzonej w czasie jest tym, co wiersze Małgorzaty Grajewskiej najpiękniej określa. Myślę, że czas oddać im głos, wymieniając tytuły wierszy: „Dziady. Przywołania i zaklęcia”, „Szczęście w miłości. Spuścizna”, „Awers - mikrokosmos, 1930”, „Wieś Kaczory. Napęd kołowy”, „Bydgoszcz, rok 1939”, „Elektryczność”.

Muszę się przyznać, że z wierszami Bartłomieja Siwca mam pewien kłopot – zanim zdążyę porządnie przestudiować kolejny zbiór poety, to już ukazuje się nowy. Tak zresztą będzie dzisiaj. Bo w centrum dzisiejszego spotkania miał stać tom *Martwy gołąb*, tymczasem kilka dni temu dotarła do mnie informacja, że oto ukazała się książka kolejna, zatytułowana *Przed telewizorem. Wiersze lekkostrawne*. A w poezję



Ośrodek Szkolenia Kierowców AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

Bartłomiej Siwca wczytując się głębiej od mniej więcej siedmiu lat, to znaczy od bardzo lokalnego zbioru zatytułowanego *Przepompownia* i wydaje mi się, że to kontynuacja tomu poprzedniego, tylko bardziej wielowątkowa i bardziej poważna. Po łagodnie melancholijnym wierszu tytułowym zauważymy tutaj to rozstania, pożegnania, żalobę. Znajdziemy tu także wspomnienia po dwóch znaczących postaciach bydgoskiej kultury: aktorze Mieczysławie Franaszku i przywoływanym już tutaj Wojciechu Banachu. Od razu stawia nam ta poezja pytanie: czy wiek męski musi być wiekiem klęski? Trudno na to pytanie odpowiedzieć inaczej niż tylko twierdząco. A klęska wynika tutaj głównie z tego, że męskość, będąca w kryzysie, została jeszcze pozbawiona emocjonalnego oparcia, zredukowana do listy obowiązków, jakie mężczyzna winien wobec społeczeństwa i rodziny spełnić, idąc niejako na przepade, bez nadziei na jakąkolwiek nagrodę lub nawet na drobną gratyfikację. Ten wątek warto wyeksponować, bo tak się złożyło, że problematyka męskości ginie w zalewie monologów kobiecych często po ideologicznemu uschematyzowanych, kierujących swoje ostrze w stronę ciągle tych samych wrogów z patriarchatem na czele. I chyba nie będzie przesadą jeśli powiem, że sporo wierszy Siwca pokazuje ludzkie oblicze męskości. Nie, żeby Bartłomiej Siwiec był od razu antyfeministą, lecz jeśli przeczytamy wiersz „Respect – oświadczenie Polki, która przyjechała do kraju na pogrzeb taty”, zauważymy, że wiele ideologicznych importów z rzekomo bardziej oświeconego Zachodu prezentuje się, by tak rzec, niekoniecznie mądrze. Naprawdę poważnie się tutaj robi, kiedy poetyckie „ja” Siwca zaczyna poszukiwać sensu doświadczenia granicznego, jakim jest śmierć. Znalazienie tego sensu postrzega poeta jako warunek przetrwania, przeżycia, dotarcia do tego, co zrazu broni się przed pojmowaniem. Mówi nam o tym we wstrząsającym wierszu „Elizjum”, który nas bynajmniej nie oszczędza w swoich dociekaniach nad tym, co kryje się za zasłoną budzących poczucie beznadziei, symptomów szpitalnego konania. Bo nawet wtedy, gdy śmierć gra pozornie fair (bo znajdziemy tu także wiersz blisko kojarzący się z finałem „Siódmej pieczęci” Bergmana), rozgrywka szachowa z nią staje się grą na czas.

Z głębi tego samego czasu pochodzą również wspomnienia dzieciństwa i fragmenty rodzinnych historii. Zgoła inaczej potraktuje poeta współczesność – portretuje ją nie bez ironii, odsłaniając ją od strony najbardziej banalnej, co słychać na przykład w „Instrukcji dla młodej sprzedawczyni”, którą usłyszymy już za moment. Ale po tekstach smutnych, dotyczących spraw trudnych, pewien oddech przynosi nam alternatywna wersja historii wyśpiewana w „Pieśni o wodzu Hannibalu i jego wspaniałym słoniu Surusie”. Wywołuję wiersze: „Martwy gołąb”, „Instrukcja dla młodej sprzedawczyni”, „Męskie powinności”, „Elizjum”, „Miasto, masa, maseczka”, „Wypracowanie Stasi”.

Poezja powstająca w grodzie nad Brdą jest już zjawiskiem bogatym. Jest jeszcze wielu twórców, których należy ukazać, a ja z uwagi na moją „Toposową” perspektywę tego nie uczyniłem. Ale od tego bogactwa ważniejsze wydaje się to, że przywoływana w niej lokalność wyraźnie odzwierciedla powszechne dylematy istnienia. I jakkolwiek Bartłomiej Siwiec nazwał Bydgoszcz „miastem do odkrycia” wydaje mi się, bydgoska poezja dla odkrywania miasta B. zrobiła naprawdę dużo. ♦

Anita Nowak

Frankenstein nadal jest wśród nas?

„Frankenstein – reportaż” wg scenar. i w reż. Zbigniewa Lisowskiego w Teatrze Baj Pomorski w Toruniu.

Spowodowana na wyspie Sumbawa wulkanem indonezyjskiego wulkanu Tambora katastrofa klimatyczna z roku 1815 w dużym stopniu odbiła się także na kontynencie europejskim; bardzo nietypowym z obniżoną o kilka stopni temperaturą, mglistym, pozbawionym słońca, deszczowym latem roku następnego. Ale ponura, w co wrażliwszych osobach budząca dziwny lęk, a na pewno już twórczy niepokój, nastrojowa pogoda przyczyniła się do powstania kilku ciekawych dzieł literackich, stworzonych przez grupę paru młodych Anglików, w której znaleźli się m.in. Georg Byron i Mary Shelley, spędzających wspólnie wakacje nad jednym z szwajcarskich jezior. Posępne wieczory sprzyjały powstawaniu bardzo ciekawych, utrzymanych w klimacie grozy opowieści. Tam właśnie narodził się, dzięki niezwyklej fantazji, a i ogromnej wiedzy z zakresu fizyki i medycyny dziewiętnastoletniej Mary, słynny „Frankenstein”.

Złożony przez Wiktora Frankensteina w laboratorium, poskładany z fragmentów ludzkich organów i ożywiony prądem, bardzo wrażliwy i dobry, garnący się do innych, człowiek, miał wygląd potwora. Zaakceptował go tylko niewidomy dziadek, w roli którego w spektaklu występuje Andrzej Korkuz. W reszcie napotykanym ludzi budził strach i odrazę. Bity i przeganiany pałkami uciekł do lasu, a potem na lody Grenlandii, gdzie podpalił swoje odrzucone przez społeczeństwo ciało. To historia o samotności, zawiedzionej nadziei, nieodpowiedzialności naukowców, wykluczaniu wszelkich inności. A także o tym, do czego może doprowadzić świat igranie z klimatem. U Mary Shelley przedstawiona jest naturalna katastrofa wywołana przez przyrodę, ale już w spektaklu Zbigniewa Lisowskiego jest to ostrzeżenie przed zagrożeniem, jakie może, spowodować ludzka pycha i lekkomyślność. Powołanie do życia sztucznego człowieka można też kojarzyć ze stworzeniem AI, której poczynania nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a które mogą nas zniszczyć...

Mimo to ową straszliwą, mrozącą krew w żyłach historię Zbigniew Lisowski opowiedział zahaczając o groteskę, z ogromną dozą poczucia humoru, włączając do wspólnej zabawy publiczność. Już zajmując miejsca na Dużej Sali Baja potykamy się o rozmaitych kształtów pudła opisane nazwami poszczególnych części ludzkiego ciała. Chwilę potem dowiadujemy się, że Wiktor Frankenstein będzie z fragmentów martwych ciał składał sobie syna, którego po zszyciu, ożywi prądem. W czasach narodzin książki Mary Shelley pseudonaukowe teorie elektrycznego reanimowania nieżywych tkanek ludzkiego ciała, były bardzo popularne. Zwłaszcza opowiadane gwoły wywołania klimatu grozy na spotkaniach towarzyskich. Ale Zbigniew Lisowski nie zamierza widzów straszyć, a pokazać jak dobro zranione przez

zło, zostaje nim zakażone. Nawet spacerując wśród widzów jego ustylizowany przez scenografa i autora kostiumów, Dariusza Panasa na potwora Franki, postawny, ale o miłej twarzy Jakub Durniat, nie budzi w widzach lęku, raczej współczucie dla dobrego z natury człowieka, okaleczonego nienawiścią otoczenia.

Przepiękna, po części obejmująca także salę widowiskową scenografia, bo nawet łoża dla publiczności wmontowane są w dekoracje, a usadowieni w nich widzowie za pomocą różnych urządzeń biorą czynny udział w montowaniu obrazów spektaklu. Widzowie nie tylko zostają wcieleni do świata Frankensteina, ale też oskarżeni o współudział w wywoływaniu zła; o podziały klasowe i rasowe. Trochę jest tu aluzji politycznych. Jest na scenie wąska brama do Europy, są postaci w kostiumach ku klux klanu. Klimatu upiornej groteski przydają też zdobione czarną skórą, ćwiekami, stylizowane na punk rockowe stroje postaci, dookreślone muzyką Jana Gembali.

Zachwycają też rozmaitych rozmiarów lalki i sposób ich ogrywania, najręczniejszą posługując się jedną z najdrobniejszych rozmiarów marionetek Anna Chudek-Niczewska, snująca się po scenie pod postacią Anioła a ogromną uplecioną z sizalu lalką pretendującą do ręki Frankiego, sprawnie operuje Wiktor Frankenstein, w którego wciela się Jacek Pysiak.

Aktorsko w przedstawieniu dominują kobiety. Bardzo interesująco z ogromną dozą ekspresji, a zarazem intrygująco rozdwojoną postać opiekującą się emigrantami Baronowej grają Edyta Soboczyńska (Baronowa I) i Edyta Łukaszewicz-Lisowska (Baronowa II). Edyta Łukaszewicz-Lisowska genialnie wręcz prezentuje się też w roli Wieszczki. Swoją nową, ciekawą twarz pokazała w tym spektaklu Iga Bancewicz-Chojęta w roli Elżbiety, żony Wiktora Frankensteina. Pomimo bardzo szybkiego tempa akcji i przebogatej w symbole warstwy wizualnej przedstawienie jest bardzo czytelne. ♦

Stefan Pastuszewski

Przystanek - wyznanie

Zatrzymałeś mnie w biegu, Panie
Mnie na pewno
Daleś mi szpital
pełen dobrych ludzi - aniołów
Bo wszystko, co dobre od Ciebie pochodzi
Czekam na tym przystanku
jak zwykle z niecierpliwością
Nie wiem na co
Tylko Ty wiesz
Jezu, ufam Tobie

19 sierpnia 2026

Lato na wsi

Anna kaleczy stopy o rżysko
powgniatane resztki kłosów
gubią ziarna
w oddali rżą konie
i tylko świst batów nad głową woźnicy
obwieszcza koniec żniw

ludzie powoli zbierają tobołki
gliniane dzbany w pękatych brzuchach
przelewają resztki czarnej kawy
pod gruszą płacze mały Teoś
rozmiękczył dziąslami gałganek z makiem

lniane koszule przylegają
do szerokich barków gospodarzy
młode gospodynie upychają dorodne piersi
w rozmemłane kawałki tkaniny
ocierają zakurzone twarze

dzieciaki wraz z jałówkami idą skrajem lasu
tam gdzie sadzawka zatacza koło
wchodzi bydło po kolana
płosząc przy tym kaczki Sabinowej

w oborach muchy urządziły rwetes
jaskółki pod stropami kwilą przejmująco
z wymion sączy się mleko wprost do wiadra
ciepłe z pianką okalającą brzegi naczynia

Zamilczenie

gorzki posmak czarnej czeremchy pozostał na języku
zmieszany z zapachem twojej skóry
zapętlilił odczucia Anny na dłużej

po łydcie mozolnie wdrapują się mrówki
dociskając odwłok tuż nad cienką siateczką żył
nie można ich spłoszyć dotykiem palców
tak cudownie łaskoczą

w oddali majaczy zdezelowany ciągnik
resztkami sił ciągnąc upchaną po brzegi słomę
warkot wzbudził niepokój

już jakby jesienią
mimo że pod plecami strzelają suche igiełki sosen
i dzieciół wystukuje do taktu Tak tu Tak!

Odkopki

spójrz na starą leszczynę zaczyna gubić orzechy
wymykają się małe ziarenka niegdyś ciasno przywarłe
z impetem spadając wprost pod stopy Anny

po bruku niesie się stukot końskich kopyt
ciągnących wóz za wozem
tak niedawno jeszcze wyplatałaś kosze
ściłałaś witki młodych wierzb formując ściśle sploty
które niczym grzbiet kota sprawnie przeginały się
pod naciskiem dłoni

na Zagórzu w pańskim słyhać gonichę
ryje ziemię odrzucając raz po raz wątle skiby tak
że baby w popłochu co naglej zagarniają łupy
gdzieniegdzie trafi motyka na kamień
albo to raz metal zagrzmiał roznosząc łoskot na pół pola

tylko dzieci z nieskrywaną radością przerzucają nać
na kopczyk już niebawem strawi ją żar
w którym spopiela resztki plonu

Renata Mosionek**Mgła**

wstał świt a za nim mgła bladolica panna
odziana w szatę prześwitną
a śliczności takiej że ino zginać kolana

rozlała się po polach i łąkach
wilgocią okryła żółtowiedzięcą nawłóć zahaczyła bagnisko
by nazat polechtać senne listeczki dziurawca

wczoraj jeszcze zeschłe i twarde skiby zalegały na polu
mokrość nocy jednak tak wlaża w czerń że zgoła gnieść
i uklepywać

upajająca słodkość wyległa nad strzechy
bladym błękitem pieszcząc czubki topoli
majaczac wśród listeczków melodie jakoby nabożne i wzniosłe

na progu tylko jazor poszczekując donośnie
a zdjąć to gospodarzów nie ma w domu
na zagórzu wykopki i kapuścianańskie ogłówki
co rychłej motyki sposobić

wyległy na pola baby służebne i dziewczki brzuchate wraz
z komornicami niosącymi na plecach witkowe kosze

wysoko po niebie w nierównych rzędach sunąć poczęły
białe chmury niby to pierza janiółów czy inszych Bogu
miłych stworzeń

gdzie okiem sięgnąć czarne pola otoczone zieloną wstęgą lasu
blisko kopanisk przebiegł łoś
znać zwierza borowy nie nagnał rychłej w krzawiska

A było tak (z cyklu Ludzie z Olszy)

strzępki urwanych myśli i słów
niby-trzęsawiska
podmokłe łąki w których zapadamy się po kostki
krok za krokiem przychodząc do siebie

patrzmy na lśniące grzbiety saren
muskane pierwszymi promieniami
i te ptasie gniazda w ażurowych prześwitach

na drugim planie babcia wieszająca pranie
białe pościele z wyhaftowanym makiem
w prawym górnym rogu krwista plama

tak wiele ludzkich trosk wplecionych w sielski pejzaż

spójrz

w oddali chłopcy kijami tłukący kasztany
za plecami ktoś zachrzęścił żwirem
brzęk objanych kan
to mleczarz na rampie przesuwiał jedną po drugiej

Stachu uwieszony przy płocie przestępuje z nogi na nogę
przeiąknięte nikotyną ubranie w połączeniu z filcami
z pewnością nie dodaje uroku

u Józefa sześćdziesiąt kotów buszuje po domu
żał się rozstać z tym rozszarpanym przez Burka
schował go w wersalce

już śmierdzi

Nasza Mamusia

To zdarzyło się naprawdę. Jestem piątym z sześciorga dzieci nauczyciela. Nigdy niczego mi nie brakowało, a już miłości szczególnie. Żadne z nas nie czuło się mniej kochane od pozostałych.

Był to okres socjalistycznej Polski. Wiedzieliśmy, że nie mamy pieniędzy, bo ojciec, choć kierownik szkoły, nie zarabiał wiele. Zawsze rodzice mieli jakieś ogródki, gdzie uprawiali ziemniaki, truskawki, fasolę, kapustę i inne warzywa. Na tych działeczkach rosły też drzewa owocowe. Skąd nasza Mama brała siły, żeby to wszystko obrobić? Sprzątanie, sprawunki, gotowanie, zmywanie, pranie przy pomocy pralki wirowej Frani i bali, prasowanie, pieczenie. Obsługiwała całą rodzinę, czyli dziewięć osób. Z domową robotą pędziła, aby jeszcze na działeczkę choć na chwilę pojechać. Mieszkaliśmy na czwartym piętrze w starym budownictwie. Ponad osiemdziesiąt schodów do pokonania. Kiedy żyła jeszcze babcia Kornelia, pilnowała, jeśli ktoś z nas był w domu, aby stał w oknie i gdy Mama wejdzie ze sprawunkami na podwórze, zszedł na dół i pomógł jej wnieść to wszystko po schodach.

My, cóż, byliśmy normalnymi, zdrowymi dziećmi, dla których nasze własne potrzeby i nasze plany były najważniejsze. Oczywiście, schodziliśmy na dół i POMAGALIŚMY. Każdy też miał jedno pomieszczenie do sprzątania, ale robił to tylko w niedzielę. Wtedy w soboty też chodziło się do szkoły.

Prasowała Mama wieczorami. Szukała wtedy w radiu jakiejś opery lub nastawiała płytę z *Traviatą*. Potrafiła nawet wyprać ubranie ojca i je wyprasować. Pilnowała, żeby kierownik szkoły był zawsze czysto i elegancko ubrany. Prasowała koszule, bluzki, sukienki, ale też naszą bieliznę, ręczniki, wykrochmalone pościelenie i obrusy. Myła okna, pastowała podłogę w całym mieszkaniu (bagatela, 105 m.). Froterowanie należało już do nas.

Do dziś nie wiemy, skąd Mama brała na to wszystko siłę. Jak gospodarzyła pieniędzmi, których zawsze było mało, ale na wycieczki szkolne dla nas starczało. Na kolonie, które trwały po 26 dni, też. Później, w miarę dorastania, były to obozy wędrownie.

I Mamusia, i babcia bardzo wspierały naszą potrzebę ruchu. Nigdy nie zabroniły nam szaleństw. Nie skrzywiły się nawet, gdy włączyliśmy na fotel babci, z którego już tylko jedno podciągnięcie, aby znaleźć się na szafie. Teraz trzeba było dostać się na jej drugi koniec, aby zawiesić się brzuchem na szczycie drzwi wejściowych do pokoju. Można też było stanąć stopami na klamkach, po obu ich stronach. Teraz tylko odepchnąć się od szafy. Pokonując kąt prosty, docieraliśmy do drugiej szafy. Mały wysiłek, bo ta szafa była trochę niższa i byliśmy już na jej górze. Teraz z szafy na piec i z pieca, hyc na tapczan. Dalej po przekątnej podłogi, na babci fotel. I tak po kolei, cała piątka (najstarszy brat, urodzony na początku drugiej wojny, nie brał udziału w tych zabawach), a jak było akurat kuzynostwo, to trzeba było dłużej w kolejce odczekać. Choć my wiedzieliśmy, i wiedziała Mama, i babcia, że ta zabawa skończy się koniecznością kolejnego wiązania sprężyn w tapczanie, nikt nigdy nam tej jesienno-zimowej zabawy nie zabronił.

Najczęściej urządzaliśmy takie zabawy, gdy Mamusia z babcią zajęte były w kuchni piecze-

niem dla nas pączków, czy pierników. Wtedy fotel babci stał pusty, a życie cóż, pustki nie znosi.

Inna fajna zabawa, to opieranie stołu o tapczan i robienie z jego blatu zjeżdżalni. Goniliśmy się też wokół stołu w jadalni i łaziliśmy po tzw. „wyżkach”, czyli blatach bufetu. Tu Mamusia stawiała warunek: trzeba było uważać na kryształ i muszle. Chociaż pamiętam, że jak ze siostrą goniliśmy się w jadalni i ja postanowiłam zaznaczyć swoje zwycięstwo, wzięłam kryształowy puchar w ręce i puknęłam nim w stół. Wcale nie mocno, ale kryształ me swe struktury; rozleciał się na dwie części. Mama była wtedy w pokoju, bo dokładała do pieca. Spojrzała i ani słowem nie skomentowała. Gdy w brzydką pogodę chcieliśmy huścić się w domu na hamaku, Mamusia bez piętrzenia trudności przywiązywała jeden jego koniec do klamki w drzwiach, a drugi do klamki w oknie. Ponieważ pokoje były wielkie, więc hamak pięknie się rozwijał i pięknie huśtał. Gdy bawiliśmy się w chowanego, to Mamusia znajdowała nam najmniej spodziewane kryjówki.

Chociaż rzeczy nosiliśmy po sobie i po innych krewnych, babcia swoimi złotymi rękoma potrafiła zrobić z nich śliczne ubiory. Nigdy nie czułam się gorzej ubrana od koleżanek. Po sobie nie nosiliśmy jedynie butów i bielizny. Mama i babcia uważały, że nie można.

Każdy z nas uprawiał jakiś sport. Nie były to wyczynowe sporty, ale zaspokajały naszą potrzebę ruchu. Gdy byłam w liceum, sami założyliśmy SKKT i prawie co tydzień szliśmy na rajd. Często był on półtoradniowy, od sobotniego popołudnia. Zabierałam ze sobą młodszą siostrę. Kiedyś wróciłyśmy z rajdu mokruteńskie. Mama spytała, czy bardzo zmokłyśmy. My, oczywiście zaprzeczyłyśmy, po czym przebiegając się w łazience w suche rzeczy, wykręcałyśmy staniki. Mama bez słowa przygotowała nam miskę z gorącą wodą, abyśmy nogi wygrzały i przyniosła sok malinowy. Ot, wszystko. My z wdzięczności nawet kataru nie dostałyśmy.

Nieważne, jak było ciężko, nasza Mama zawsze śpiewała. Śpiewała przy gotowaniu, praniu, sprzątaniu. Śpiewała też, gdy wszyscy zachorowaliśmy na grype. Ona także, ale ktoś musiał to wszystko ogarnąć, więc zataczała się od gorączki, ale o nas wszystkich dbała, gotowała, podawała i karmiła witaminami.

Nie opuszczała też mszy świętych i okresowych nabożeństw. Mimo zmęczenia, mimo czwartego piętra i tak na różaniec, majowe, czy drogę krzyżową zawsze poszła. Nigdy nie opuściła też śródowej Nowenny do Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Zmarła 5 maja, ale pogrzeb odbył się 13 maja, w święto NMP Fatimskiej. Na kawę imieninową do swej jedynej przyjaciółki złożyła. Dała nam siłę do przetrwania najcięższych okresów naszego życia. My, jej dzieci, nie poddajemy się, nie załamujemy. Pod ciężarami, prostujemy plecy, stajemy twardo na nogach i ze słowami: „Trzeba żyć dalej”, dajemy radę. Dała nam najlepszy posąg na dorosłe życie: szczęśliwe, pełne miłości dzieciństwo i radosną młodość. Dała tarczę chroniącą nas przed ludzkimi podłościami i złymi zrządzeniami losu. Nikt nie jest w stanie zrobić nam krzywdy, nawet, gdy bardzo się stara.

Ba, teraz sami przyznajemy się przed sobą do tego, że gdy mamy coś pilnego, czy trudnego do zrobienia, czujemy jej pomocną obecność. ♦

Piotr Wiktor Grygiel

Po cóż...

*/W 100-letnią rocznicę śmierci
Jana Kasprówicza/*

Po cóż ci Janie łany kujawskie
co złotem czarną ziemię spowiły
po cóż melodią co snem kujawskim
kujawiakiem po polach nuciły

Spod twojej strzechy gniazda jaskółcze
wiatrowym szeptem stawiały kopy
świtowym blaskiem przez pola gnały
wiązały ręce dorodne snopy

Po cóż powracać myślą co poszło
tyle za siebie ziemi pod stopą
tyle ościstych rozstań rachunków
i garści ziarna w bruzdę rzucone

Tam twoja matka jak przystań rzeczna
notecką wstęgą w błękit ubrana
szymborską drogą łopianem pachnie
znojem karmiona zgina kolana

Tam chata skraja miasta namiastka
inowrocławskie podboje świata
liceum śladem na twych ramionach
i ziarna wspomnień które zasiałeś

Po cóż ci Janie łany kujawskie
co złotem czarną ziemię spowiły
kujawskim szlakiem pod nową strzechą
gdzie już jaskółki gniazda nie uwiły

Szymborsze, lipiec 2026.

Antoni Dobrowolski

dom nasz stał pośrodku wioski

w miejscu gdzie dąb potężny rośnie
gdzie pokrzywy
że skryłby się człowiek
gdzie zardzewiały nocnik
na dnie zielonego stawu leży
gdzie pies już nie czeka
i nie kwiczą świnię
tylko uparcie kwitną jeszcze wiśnie
i słońce wschodzi i zachodzi
i te same gwiazdy
i te same błyskawice
zapalają noc jak pochodnie

i kiedy

po latach
zadeptywania mrówek
wspiął się wreszcie
na tę górę
z widokami na zawsze
to nawet się nie przyznał
że po nocach śnił
o dolinach z tamtymi kwiatami

Literatura jako swoiste doświadczenie i kompozycja świata

Literatura nie jest jedynie zapisem rzeczywistości ani zbiorem słów, jest aktem doświadczenia, stanowi jedno z najważniejszych narzędzi poznawania świata i natury człowieka. Nie jest przypadkowym zbiorem opowieści, a jest aktywnym procesem tworzenia sensu, to przestrzeń, w której język i doświadczenie człowieka współtworzą jej znaczenie. Takie rozumienie literatury być może wykracza poza tradycyjne pojęcie mimetyczne (z gr. *mimesis*) stawia zdecydowanie w roli rekonstrukcji świata, a nie jest tylko jego płaskim odbiciem. W swoich dotychczasowych esejach wielokrotnie podkreślałem, że literatura jest swoistym miejscem, w którym czas, pamięć i język spotykają się w intensywnym doświadczeniu. Ulegają interakcji w swoistej twórczej symbiozie. Takie filozoficzne, myślenie przypomina podejście Martina Heideggera, dla którego język podobnie jak i dla mnie jest tym nieodzownym medium bycia w świecie. Nawiązuję również do koncepcji Maurice Merleau-Ponty'ego, który stawiał percepcję jako podstawę kontaktu z otaczającą rzeczywistością.

Język literacki nie jest nienaturalnym narzędziem komunikacji. Język jest materią znaczeń, takich które pulsują rytmem metafory, rytmem zdań i egzystują jako interakcja słów. W literaturze słowa nie opisują świata, lecz go tworzą, co czyni czytelnika współuczestnikiem procesu znaczeniowego. Na tej płaszczyźnie adekwatnie podzielam przekonania Jacques'a Derridy, że znaczenie w literaturze nie jest wartością stałą – sens powstaje w interakcji tekstu i czytelnika. Literatura nie daje gotowych odpowiedzi, lecz swą treścią prowokuje pytania. Zmusza to odbiorcę – czytelnika do przemyśleń nad własnym doświadczeniem i istnieniem. Spostrzegam tekst literacki jako przestrzeń napięć i niedopowiedzeń: między tym co wypowiedziane, a tym co przemilczane; co jest pamięcią a co jest zapomnieniem; między oczywistym a przemijającym. Przecież tekst to pole hermeneutycznych odruchów, podczas których czytelnik wchodzi w dialog z tekstem, rekonstruuje znaczenia i tworząc sens w całym subiektywnym procesie interpretacyjnym. Zatem każdy tekst jest więc nie tylko dziełem autora, ale staje się również doświadczeniem wspólnotowym, w którym znaczenie powstaje w relacji między autorem a czytelnikiem. Poczta i proza w mają w mojej koncepcji za cel przeprowadzenie odbiorcy przez doświadczenia graniczne. Nie dają prostych odpowiedzi ani poczucia bezpieczeństwa, wyrażają chaos świata, który wymaga od czytelnika odwagi interpretacyjnej. Nie można pominąć egzystencjalnego wymiaru literatury jako empirii. Podobnie jak u Alberta Camusa, również dla mnie literatura może ukazywać absurd istnienia i brak ostatecznego sensu, ale jednocześnie daje możliwość, nadaje znaczenia poprzez własne przeżycia i re-

fleksję. Powieść Dżuma jest ewidentnym przykładem utworu, którego wątkiem jest epidemia, podczas której ujawniają się różne postawy moralne od egoizmu aż po heroizm. Tego typu utwory nie udzielają prostych odpowiedzi, prowokują do samodzielnego myślenia i redefinicji indywidualnych wartości. Literatura jest więc przestrzenią egzystencjalnego poznania i konfrontacji z własnym istnieniem i byciem, ma to wymiar terapeutyczny. Wyznaje pogląd, że czytelnik nie powinien być biernym uczestnikiem procesu literackiego, lecz jest jego współtwórcą. Sens tekstu literackiego powstaje wówczas dopiero w momencie jego interpretacji, w indywidualnej relacji między językiem, świadomością i doświadczeniem jednostki. Twórczość literacka dzięki takiemu podejściu staje się żywą przestrzenią, w której znaczenie ewoluuje wraz z każdym aktem czytania. W tym ujęciu czytelnik nie jest tylko biernym biorcą odbierającym treść, ale ją zarazem współtworzy, nadaje jej indywidualny wymiar i swoistą głębię.

Pamięć w literaturze nie jest to archiwum faktów, swoistym zbiorem, ale jest źródłem znaczeń i emocji jednostki, które tekst wydobywa i przekształca. Dzięki literaturze człowiek może konfrontować się z własnym doświadczeniem, odnajdować sensy, które nie istnieją w dokumentach, faktach i relacjach, a zarazem uczestniczyć w procesie rekonstrukcji własnego świata wewnętrznego. Często w swoich esejach podkreślam donośność i wyjątkowość filozoficznego niepowierzchnowego wymiaru literatury. Ta wyjątkowa więź pomiędzy filozofią a literaturą znajduje odzwierciedlenie w kumulatywnej funkcji poznawczej. Język, pamięć i interpretacja nie są tylko narzędziami artystycznymi, są sposobem myślenia o świecie, egzystencji i przemijaniu. Istotny jest społeczny wymiar literatury poprzez to, że dzieła literackie często podejmują tematy ważne dla zbiorowości, historii i przemian kulturowych. Kolejnym aspektem jest funkcja poznawcza literatury, dzięki której lepiej rozumiemy mechanizmy kształtujące porządek świata społecznego – relacjami międzyludzkimi czy historią.

Adekwatnie jak w egzystencjalizmie i fenomenologii, literatura jest przestrzenią wypowiedzi, a nie z góry założonej odpowiedzi. To miejsce, w którym człowiek doświadcza pewności, bada granice poznania oraz konfrontuje się z własną samotnością. Literatura nie odzwierciedla świata, lecz go rekonstruuje. Tekst literacki tworzy nowe perspektywy poznania, prowokuje do pytań, które nie mają jednoznacznych odpowiedzi, co pozwala odbiorcy uczestniczyć w ciągłym kształtowaniu sensu i otaczającego świata. To rekonstrukcyjne działanie literatury sprawia, że staje się ona narzędziem przemyśleń filozoficznych i egzystencjalnych, dzięki czemu możliwe jest badanie poznania i języka. Literatura ujawnia potęgę języka i doświadczenia.

Tekst literacki nie jest gotową linearną mapą znaczeń, to podróż w głąb świata, pamięci i siebie. To przestrzeń, w której sens powstaje w interakcji autora, języka i czytelnika i jego nadbudową jako aktywnego biorcy. Reasumując literatura nie odzwierciedla świata jako takiego – ona go rekonstruuje, co pozwala każdemu czytelnikowi uczestniczyć w jego ciągłym kształtowaniu. Literatura jako doświadczenie to zjawisko wielowymiarowe, obejmujące ekscytację, poznanie, refleksję i wyobrażenie. Dzięki niej człowiek jako jednostka może przeżywać sytuacje, których zapewne nie doświadczałby w świecie realnym, może trafniej rozumieć innych ludzi i samego siebie. Podczas lektury czytelnik emancypuje własną wrażliwość i świadomość. Ta subiektywność jest jedną z największych wartości literatury, sprawia, że każdorazowy kontakt z tekstem jest unikalny. To doświadczenie nie jest tylko intelektualne, lecz ma wymiar głęboko emocjonalny i często pozostawia trwałe ślady w świadomości odbiorcy. Literatura nie pełni tylko rolę rozrywki czy sztuki, ale jest jednym z istotnych sposobów doświadczenia świata. To w tej kreacji tkwi jej niebywała moc i ponadczasowa wartość. ♦

Bibliografia:

- Camus A. *La Peste*. Paris: Gallimard 1947
 Derrida J. *Of Grammatology*. Baltimore: Johns Seabury Press 1967.
 Gadamer H-G. *Truth and Method*. New York: Seabury Press 1975.
 Heidegger M. *Źródła dzieła sztuki*. Warszawa 2020.
 Merleau-Ponty M. *Phenomenology of Perception*. Paris: Gallimard 1945
 Żarów S. M. *Mensura Hominis* – dziennik małopandemiczny. Rzeszów 2020.
 Żarów S. M. *Kategorie Tworzenia*. Akant 2015.
 Żarów S. M. *Podkarpackie ślady Pegaza*. Rzeszów 2019.
 Żarów S. M. *W cieniu Parnasu*. Rzeszów 2024.

Dorota Czerwińska

Haiku

ostatnia randka
wrzucasz mi do herbaty
kostki lodu

szukając drogi-
księżyc wpisuje się
w mój wiersz

droga przez chaszcze
odkrywam delikatność
mojego dziecka

randka w altanie
grucha coraz donośniej
gołąb z ulicy

sala zamkowa
szukam chłodu wśród spojrzeń
wytwornych dam

Hanna Rogowska

Złoty jubileusz Druha Andrzeja Boguckiego w Sokolstwie Polskim!

9 maja 2026 roku w Restauracji Ogniem i Mieczem w Bydgoszczy odbyła się uroczystość z okazji Złotego jubileuszu 50-lecia działalności druha Andrzeja Boguckiego w Sokolstwie Polskim (1976–2026). Jubileusz zorganizowało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” II Bydgoszcz – Fordon im. gen. Józefa Hallera. Podczas spotkania druż Jerzy Boniecki przypomniał bogatą biografię działalności społecznej jubilata, w tym jego zaangażowanie w ruch sokoli już w czasach konspiracji. Z kolei druż Paweł Bogdan Gąsiorowski przedstawił imponujący dorobek pisarski prezesa honorowego Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce, omawiając najważniejsze książki i artykuły z jego historycznej działalności, ze szczególnym uwzględnieniem publikacji poświęconych Sokolstwu w Polsce i na świecie. Druż Paweł Gąsiorowski w niezwykle ciepłych słowach omówił też bogatą, wieloletnią działalność kronikarską i archiwistyczną jubilata druha Andrzeja, doceniając jego trud włożony w ocalenie od zapomnienia naszej wspólnej historii. Zgromadzeni goście chętnie dzielili się wspomnieniami o zaszczytnej i pełnej honorowej oddania służbie jubilata. Kulminacyjnym punktem wydarzenia było wręczenie zaszczytnego Ryngrafu Sokolego, którego dokonał druż Bogdan Filipiński. Podczas uroczystego jubileuszu 50-lecia w „Sokole”, córka jubilata Anna Stelmach podkreśliła w swoim przemówieniu, że tylko najbliższa rodzina tak naprawdę wie, jak ogromny trud i serce jej ojciec włożył w tę półwieczną, bezinteresowną działalność społeczną non profit. Drużna Hanna Rogowska wspominała trudną i ogromną pracę społeczną w zarządzaniu Związkiem Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce, kiedy to była wspólnie z jubilatami sekretarzem generalnym ZTG „Sokół” w Polsce. Wspominała też organizację zlotów sokolstwa, które zawsze są oceną działalności i sprawności organizacyjnej całego Sokolstwa Polskiego. Druż Tomasz Stelmach wykonał dokumentację zdjęciową z jubileuszu.

Druż Andrzeja Bogucki jest honorowym prezesem Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół” w Polsce, na Litwie i w Austrii oraz wybranych gniazd sokolich w kraju. Po uroczystym wręczeniu ryngrafu, jubilatowi złożono gratulacje i wręczono bukiet kwiatów. Następnie zaproszono go do stołu na tradycyjny polski posiłek, a całe spotkanie uświetniono toastem wzniesionym najlepszym winem reńskim. Pół wieku pracy honorowej i społecznej dla Sokolstwa Polskiego to czas pełen wyzwań i pięknych chwil. Dziękuję za uroczyste podziękowania i wyjątkowy Ryngraf wręczony przez Sokolów. Wasza pamięć i uznanie są dla mnie najlepszą nagrodą podziękował przybyłym druż Andrzeja Bogucki.

Treść zapisu na Ryngrafie Sokolim: Druż Andrzeja Bogucki 1976 – 2026. Dziękujemy za

50 Lat Honorowej Służby Sokolstwu Polskiemu Sokoli TG „Sokół” II Bydgoszcz - Fordon im. gen. Józefa Hallera CZOLEM!

Druż Andrzeja Bogucki opublikował w mediach społecznościowych wspomnienie o swoim mieście rodzinnym, w który wyraźnie zapisał o jego bliskiej sercu organizacji sokolej, które załączam poniżej.

Bydgoszcz moje miejsce na ziemi

Bydgoszcz to moje miasto utkane z wody, zieleni i pamięci, gdzie Brda cicho nuci pieśń o minionych pokoleniach, a secesyjne kamienice czule strzegą sekretów moich przodków. To mój intymny zakątek świata, w którym historia spleta się z codziennością, a serce bije w rytmie



Na zdjęciu: Andrzej Bogucki w otoczeniu przyjaciół

leniwie płynących rzecznych fal. Moje miasto ma duszę z wody i mgły. Kiedy spaceruję brzegami Brdy, czuję, że każdy podmuch wiatru niesie ze sobą szept tych, którzy byli tu przede mną. To tutaj, wśród czerwonej cegły dawnych spichrzy i dumnych, secesyjnych kamienic, bije serce mojej historii. Bydgoszcz to nie tylko adres, to rzeźbiarz moich najpiękniejszych wspomnień i bezpieczna przystań, do której zawsze pragnę wracać. Moje kochane miejsce na Ziemi. W cieniu potężnych murów bydgoskiej katedry, tam gdzie czas zwalnia swój bieg, wysoko nad ziemią tańczy na wietrze nasza flaga. To nie tylko materiał szarpany powiewami znad Brdy, to żywy symbol mojej polskiej Bydgoszczy. Kiedy patrzę na jej barwy, widzę niezłomność moich przodków, którzy przekazali mi miłość do tej ziemi. To tutaj wiara spleta się z historią, a duma z bycia stąd unosi się ku niebu wraz z biciem katedralnych dzwonów. Kiedy miejski zgiełk staje się zbyt głośny, moje kroki naturalnie kierują się ku farnym murom.

Wchodzę do chłodu bydgoskiej katedry, zdejmując z ramion ciężar codzienności. Tam, w blasku tłących się świateł, spoglądam w oczy Matki Bożej Pięknej Miłości, tej samej, do której z nadzieją i wiarą zwracali się moi przodkowie. Szeptam te same słowa, które oni szepotali przed wiekami. Mater Dei, memento mei; Matko Boża, pamiętaj

o mnie. W tej jednej chwili czuję, że łańcuch pokoleń nie został przerwany, a ja jestem dokładnie tam, gdzie moje miejsce. Moje miasto nie leży nad morzem, ale przepływa przez nie rzeka, która niesie ze sobą echa dawnych dni. W zakątku Bydgoszczy, przy chrzcielnicy kościoła Świętej Trójcy, bije źródło mojej tożsamości. To nie tylko chłodny kamień i rzeźbione detale. To miejsce, gdzie przed laty, otoczony szeptem modlitwy najbliższych, zostałem włączony w tajemnicę wiary. Tamto dotknięcie wody do dziś rezonuje w moim życiu jako ciche przypomnienie, kim jestem. Mieszkam w nim po kawałku, zostawiając część siebie na kolejnych zakrętach ulic. Ulica ks. Jana Długosza. Tam uczyłem się pierwszych zachwytów. Ciche podwórka i stare kamienice pamiętają kroki, które stawiałem z dziecięcą ufnością. Armii Czerwonej, dziś Marszałka Focha. Śródmiejski gwar, stukot kół tramwajów i czas, kiedy wydawało się, że świat ma nieskończenie wiele dróg. Zmieniła się nazwa, zostały wspomnienia. Ulica Janusza Korczaka. Cichy azyl, skrawek codzienności, gdzie popołudnia pachniały spokojem i domem. Ulica 24 a potem 20 Stycznia. Kolejny przystanek na mapie, w którym czas mierzyło się rytmem zmieniających się pór roku i ludzkich twarzy. Osiedle Tatrzańskie. Na koniec trafiłem tam, gdzie w nazwach ulic i w pamięci ludzi trwa wielka miłość do szczytów. Na osiedlu Tatrzańskim, gdzie pamięta się o Ludziach Gór, wiatr od Brdy mieszał się z tęsknotą za błękitem nieba i twardą skałą. Każdy adres to inny odcień mnie samego. Bydgoszcz nie jest tylko miastem z cegły i asfaltu. Jest opowieścią, w której każdy dom ma swój puls, a każda zmiana miejsca była tylko krokiem w tę samą stronę, ku własnemu wnętrzu. Ego Bydgosciensis, hic domus mea in aeternitatem respicit (Ja, Bydgosciensis – stąd mój dom ma widok na wieczność). Mieszkając na Tatrzańskim, w naszych „Bogucicach”, mam wrażenie, że dotykam chmur i historii jednocześnie. Wystarczy krótki spacer, by stanąć na wzgórzach legendarnego Wyszogrodu i spojrzeć na dół, gdzie Brda czule i ostatecznie wpada w ramiona Wisły. To tutaj żyli moi przodkowie, a ziemia ta do dziś pachnie wodą, wiatrem i pamięcią pokoleń. Z mojego firtla na Tatrzańskim do dzikich brzegów Wisły jest tylko kilka kroków. Kocham ten moment, gdy stojąc na Wyszogrodzie, patrzę na Brdyujście, miejsce, gdzie dwie rzeki łączą swoje losy, tak jak w moich żyłach połączyły się losy dawnych bydgoszczan. Wychowany w cieniu sokolich skrzydeł moich przodków, oddałem Towarzystwu całe swoje serce. To nasz dumny ptak uniósł mnie nad codzienność i zaszczerpił we mnie miłość do pracy społecznej. Przez te wszystkie lata, służąc w gniazdach „Sokoła”, rozumiiałem, że hartowanie ducha i praca dla wspólnoty to najpiękniejszy lot, jaki człowiek może w życiu odbyć. Przemierzyłem dalekie kraje i podziwiałem cuda świata, lecz moje serce bije prawdziwym rytmem tylko tutaj. Moja kochana Bydgoszcz to bezpieczna przystań, gdzie szum Brdy i znajome ulice zawsze witają mnie z czułością. Pośród wszystkich dróg ziemi, to właśnie tutaj, w moim rodzinnym mieście, odnajduję najgłębszy spokój i dom. To nie jest po prostu kropka na mapie. To mój dom, mój azyl, moje miejsce na ziemi. Bydgoszcz, 3.08.2026 r. Andrzej Bogucki de Bydgoscia. ♦



Na zdjęciu: Andrzej Bogucki z ryngrafem

Juvenalia, czyli święto Młodego Baletu

„Juvenalia” Polskiego Baletu Narodowego JUNIOR z Teatru Wielkiego w Warszawie w Operze Nova w Bydgoszczy

„Juvenalia” w wykonaniu Polskiego Baletu Narodowego Junior z Teatru Wielkiego Opery Narodowej w Warszawie porwały swym temperamentem, wrażliwością oraz techniką wykonania nie tylko dorosłą publiczność, ale przede wszystkim najmłodszą i nastoletnią widownię. Ta ostatnia nagrodziła wykonawców szczególnie ogromnymi i autentycznymi brawami. Atmosfera, jaka powstała tego wieczoru i na scenie, i na widowni, skłania do optymistycznych refleksji. Gościnne spektakle baletowe oraz przedstawienia w wykonaniu tancerek i tancerzy Baletu Opery Nova stają się kulturalną wizytówką miasta.

Gościnny występ zespołu młodych artystów PBN Junior, stworzonego z inicjatywy Krzysztofa Pastora, został tak przez mistrza choreografii skonstruowany, by zademonstrować najnowsze tendencje we współczesnym balecie w wykonaniu najlepszych tancerzy i tancerek pokolenia rozpoczynającego sceniczną karierę.

Program obejmuje pięć miniatur baletowo-muzycznych, połączonych w całość poprzez narrację dla której najważniejsze jest przesłanie związane z żywiołowością i energią młodości, poszukiwaniem własnej tożsamości i miejsca w życiu, przechodzącym w emocje wypełnione minorowymi refleksjami nad przemijaniem,

by ponownie w ostatnim obrazie baletowym, w myśl cytowanego w programie fragmentu wiersza T. S. Eliota, pokazać, że człowiek nie ustaje w poszukiwaniach, w których dochodzi do punktu wyjścia i poznaje go po raz pierwszy. I w takim kontekście ostatni baletowy akord występu staje się upoetycznionym obrazem wyrażającym radość życia i kipiącym młodzieńczą energią.

Choreografię do „Journey within”, obrazu tanecznego otwierającego spektakl, stworzył słynny Valentino Zuchetti, do muzyki Juliusza Zarębskiego. Julia Alvarez, Maria Grzymała, Paweł Dobrzyński, Roberto Olivieri, Mikołaj Spiżewski oraz Cezary Szlachta zaprezentowali od pierwszej sceny wysoki poziom wykonawczy, harmonizując go z wymagającą linią melodyczną.

Kilkuminutowa miniatura stworzona przez Weronikę Gałązkę oraz Macieja Dudę przeniosła widzów w niebывale zamknięty, intymny świat, w którym muzyka Maxa Richtera oraz refleksje nad przemijaniem i nieustannym poszukiwaniem płynące z wspomnianego wyżej fragmentu wiersza T. S. Eliota zostały wyrażone przez mowę ciała. Duet ten doskonale wyraził wszystkie choreograficzne niuanse, które stworzył Gianni Melfi.

Krzysztof Pastor choreografią do kilkuminutowego muzycznego fragmentu z „Srebrnego jeziora” Kurta Weilla stworzył cudowną i delikatną w wymowie, baletową sekwencję, ujmującą w sposób symboliczny poszukiwanie własnej drogi i miejsca. Paweł Dobrzyński oraz Mikołaj Spiżewski tworzą obraz pełen emocji, tych które łączą i tych, przed którymi podejmuje się ucieczkę. Obaj kreują przestrzeń, w której odnajdują wzajemne zrozumienie, konstruując ją idealną i płynną techniką wykonawczą.

I kolejna miniatura. „A blurry reflection” do muzyki Edwarda Elgara i w choreografii Kristofa Szabo. Jest to niezwykle przejmujący obraz procesu starzenia się w wielu wymiarach, który nabiera napięcia dramatycznego poprzez minimalistyczne gesty tancerek i tancerzy, ale o potężnej przejmującej sile wyrazu i oddziaływania na widzów. Weronika Gałązka, Maria Grzymała, Kamila Lechowska, Julia Alvarez, Roberto Olivieri i Cezary Szlachta komponują ze swoich ciał sytuację, w których zachowanie się człowieka sygnalizuje trwałe zmiany, zachodzące w jego ciele oraz intelekcie i emocjach. Fascynują tworzeniem świata, do którego w naturalny sposób zmierzamy. W jego wykreowaniu dużą rolę pełni reżyseria światła Tomasza Fabiańskiego, która to z panujących ciemności niepamięci wylania jasnym blaskiem pogrążone w niej postaci.

Po tych kameralnych miniaturach baletowych nastąpiły końcowe „Juvenalia” w choreografii Krzysztofa Pastora, który tego wieczoru zachwylił najpierw stworzeniem intymnego obrazu dwójga ludzi, jak i potem zafascynował rozmachem tanecznym do utworu „The chariman dancers” skomponowanego przez wybitnego w swej sztuce Johna Adamsa. Nigdy dotąd

nie widziałam tak fantastycznej choreografii stworzonej do tak szaleńczego rytmu fokstrota, w muzycznej wizji tego amerykańskiego kompozytora. I nigdy dotąd nie podziwiałam tak zsynchronizowanych z muzyką układów, wymagających od tancerek i tancerzy tak ogromnej lekkości jak i utrzymywanego tempa, które w pewnym momencie zostaje przełamane harmonijną falą melodii wymagającej już łagodności i płynności wykonania. Wielkie brawa dla całego Zespołu Juniorów! Bo w tym obrazie wystąpiły wszystkie tancerki i tancerze.

Ten baletowy wieczór był dla każdego, kto szuka w tańcu współczesnym siły wyrażania emocji, doskonałych i wielowymiarowych w wymowie tanecznych technik wykonawczych, układów komponujących się w narrację o świecie realnym szukającym swych odniesień w ideach i w symbolach człowieczej egzystencji.

Należy podkreślić także i to, że kostiumy tancerek i tancerzy nie tylko podkreślały plastycznie kreowane na scenie obrazy taneczne, ale także komponowały się z ich przesłaniem. Bardziej wyrazistego artystycznie akcentu kończącego sezon 2023/2024 w Operze Nova w Bydgoszczy nie można było oczekiwać. Poza „Wesołą wdówką”, która wkrótce go zamknie w wielkim operetkowym stylu w wykonaniu artystów i orkiestry Opery Nova w Bydgoszczy. ♦

JUVENALIA: spektakl baletowy Polskiego Baletu Narodowego Junior Teatru Wielkiego Opery Narodowej w Warszawie

Data premiery:

24. 11. 2023 r.

Wykonawcy:

grupa Polskiego Baletu Narodowego Junior

Czas trwania:

ok. 1 godziny i 30 minut, w tym dwie przerwy

Juvenalia na scenie Opery Nova w Bydgoszczy:

w dniach - 18 czerwca 2024 i 19 czerwca 2024

Nowe tytuły

Józef Baran, *Gen marzenia. Zapiski z przełomu wieków 1997-2026*, Warszawa 2026, Państwowy Instytut Wydawniczy, ss. 656.

Józef Baran, *Jaśń*, Poznań 2026, Wydawnictwo Zysk i S-ka, ss. 138.

Red. Daniel Guciewicz, *Kapelani i duszpasterstwo Ludowego Wojska Polskiego 1943-1990*, t. 1, Gdańsk-Warszawa 2026, Instytut Pamięci Narodowej, ss. 656.

Władysław Kłepka, *Sfumato*, Zielona Góra 2026, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, ss. 114.

Sławomir Krzyśka, *Słowa pisane w ciemności*, Kraków 2026, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, ss. 44.

Sławomir Krzyśka, *Wiersze (nie tylko) dla dzieci*, Kraków 2025, Wydawnictwo Vandred, ss. 44.

Sławomir Krzyśka, *Zanim odnajdą głos (piosenka)*, muzyka Andrzej Zarycki, ilustracje Sebastian Kudas, Kraków 2025, Wydawnictwo Vandred, ss. 12.

Krystyna Krzyżanowska-Nastulczyk, *Garstka nocy*, Bielsko-Biała 2026, Ośrodek Wydawniczy „Augustana”, ss. 76.

Stefan Pastuszewski, *Bydgoska młodzież na „barykadach” lat osiemdziesiątych XX wieku*, Bydgoszcz 2026, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 266.

InoNet

Szybki INTERNET

światłowodów
w Twoim domu
- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet
Poznańska 225
88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl
www.inonet.pl

Grażyna Wojcieszko

Wariacja V

między prawdą a kłamstwem linia, lina, czy sparciwały sznur?
pewność i niepewność idą w parze, tańczą trzymając się za
ręce, jak stare małżeństwo pełne żalów, ale nierozłączne, jak
lina pełna dziur, jak ten zmurszały sznur co jeszcze trzyma,
trzyma się serca, trzyma się nadziei na jutro. jutro wstanie dzień.

pewność, że nie ma pewności. wstaje dzień? a może nie ma dnia?
a może to tylko jakiś sen. kłamstwo o tym, że kolejny dzień
się zaczyna. wiara czyni cuda i zobaczysz dzień w ciemnej
nocy, a może tylko światło księżyca. między dniem i nocą cienka
linia, a może lina, a może sznur, pękający, murszejący sznur.

Wariacja VI

czas nas zapomni? nikt nas nie zapamięta? a gdyby tak wejść do
jajka i poczekać na lepszy świat? schować się w skorupie i czekać
na historyczną chwilę ekspansji kosmosu - wyklucie! teleskop.
największe odkrycie. czy kosmiczny teleskop NASA pozwala
widzieć dalej, dalej niż z perspektywy wysiadywania jaj. on nas

cofnie w czasie do momentu powstania pierwszych gniazd, do
momentu składania jaj. wieczne bezdomnych, niczych od lat,
od stu milionów lat. po wielkim wybuchu na popiół roztał je czas.
a teraz astronomowie zobaczą nasze wyklucie z gwiazd. zobaczą
jak zmartwychwstaje czas. zobaczą jak wyfruwamy z gniazd.

Wariacja VII

nie wiem jakie ma znaczenie prawda, czy to cień czy sylwetka?
prawda leży gdzieś na dnie? i jak widziadło wyłania się z mgły?
jaka to sylwetka? szczupły linoskoczek, który mierzy wysokość
upadku? przecież można spaść w cień, w bezmyślność, w mary,
w podejrzliwość, w przypadek, w nieprzewidywane, w ciężki sen.

traf chciał, a może los postanowił: popiół z twojego papierosa
wiatr przyniósł do moich stóp. gdzie jest powód? kolejny raz
przyszedł a potem odszedł czas? zwycięzcy nigdy nie mówią o
przypadku, przypadek to bóg, który rozdaje incognito karty.
traf chciał: popiół z papierosa wiatr przyniósł do moich stóp.

Wariacja VIII

przypadek, to zwykle skrzyżowanie losów i nie zależy
od niczego. nigdy nie wiemy dlaczego. dlaczego. ach
gdyby wiedzieć, znać przyczynę, ona też ma przyczynę,
gdzie jest powód przyczyny? z czego się wywodzi? czy to
portier, który otwiera nam drzwi i można wejść w pustkę

albo w szczęście? niespodzianki spadają jak deszcz, jak
motyle siadają na kwiatach i żadna prognoza pogody nie
podaje przyczyny. dlaczego dzisiaj motyl usiadł na twój
pachnący kwiat. pachnie tysiące kwiatów. czy motyl wie,
zna przyczynę? spija twój sok. chwila po chwili spija sok.

Wariacja IX

kształt koła. taki kompletny, taki ucieleśniający doskonałość.
fascynujący. trzeba zobaczyć, jak idzie. jak idzie swoją magią
od słońca do kragłości kobiety. od bańki mydlanej do pętli czasu,
do wiecznego powrotu. jak działa kojąco. jaką przynosi ulgę
śmierci. uwalnia śmierć od przyszłości. od całej małej nostalgii,

która płami zasady szczęścia. udaje mu się w cudowny sposób
połączyć trwanie z jeszcze raz. i nagle dramatyczny czas, który
ma początek i koniec, to tylko wieczne trwanie, to tylko pętla po
której wszystko wraca. wszystko wraca do wiecznego powrotu,
do życia. śmierć bez żadnego skutku. w kształcie koła bez kursu.

Joanna Hetman Krajewska

Nagonka

Świątynia Artemidy
z kolumnami w sosnowym porządku
w powietrzu dużo czasu i powietrza
biegnę
rytm serca lasu przyspiesza
drzewo drzewo drzewo
miara za miarą
stukot choinek
zapalki sosen
na płucach plantacja suchych traw

Wpadła do mojej kawy
z mlekiem i masłem
i utonęła za młodu
stare mrówki nie biegają tak szybko
mrówka bezmyślnie żywa
w mgnieniu nieuwagi
śmiertelnie oblepiona masłem i mlekiem

Jak wypiję kawę, to wypiję herbatę
zagryzę bułką
trzeba jakoś żyć
jakoś jakoś pocerować pofastrygować

Potem znowu do biegu
gotowi
uniki między kolumnami sosen
z tyłu nagonka

małe kawałki wody

składałam się z miliardów kropli
małych kawałków wody
każdy przeczytany wiersz
każdy obraz przed oczami
dotyk
zasłyszany śpiew
formuje moją duszę
jak ciasto na chleb
z którego wypiekam
kragłe bochenki dekad

składałam się z tysięcy liter
które raz równym marszowym krokiem
układają się
w kragłe słowa i kwieciste zdania
a raz pijanym wężykiem
torują sobie drogę
przez korytarz krtani

składałam się z nieskończoności światów
na każdym stoi dom
i szczeka pies
uparcie przekonany
że cały świat
kończy się za płotem

W potrzasku

Z tego, że czas szybko mija, chyba każdy zdaje sobie z tego sprawę, ale na urlopie to on mknie ze zdwojoną prędkością, no bo przecież niedawno była niedziela, a tu już jest sobotnie popołudnie i pożegnalne ognisko, choć wyjazd w poniedziałek.

Grube kawałki drewna jednak trochę dymią mimo, że ponoć dobrze wysuszone, no ale jest ognisko, więc i dym musi być, który przypomina o sobie przy silniejszych podmuchach wiatru, szczególnie gdy on prosto w nasze oczy. Parę osób zabrało się za pieczenie kiełbasek, chyba raczej dla kultywowania tradycji, niż z poczucia głodu. Jakby nie było, trzy godziny temu podano obfitą obiadokolację, a tu w kociołkach czeka żurek świętokrzyski, na półmiskach śledziki w oleju, a też i w śmietanie, trzy rodzaje sałatek, są też ciasta do wyboru i nieodłączna kawa i herbata w termosach z kranikami, a jak by było tego mało, paluszki i chipsy na przegryzkę, a i piwo, po dwie puszki na osobę, wodę mineralną też podano. Mimo woli przychodzi do głowy powiedzenie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”.

Można by powiedzieć, że stoły aż się uginają od jadła i picia, ale się nie uginają, bo i jak im się ugiąć, kiedy deski, a raczej bale tworzące blaty mają po kilka centymetrów grubości, a ławy do siedzenia tak ciężkie, że dwóch rośliwych mężczyzn ma co dźwigać, gdy zachodzi potrzeba ich przestawienia, zresztą stoły pewnie nie lżejsze.

Trzask palącego się drewna i od czasu do czasu snopy iskier przy dorzucaniu potężnych polan do ognia, wszystko to tworzy romantyczny nastrój, tym bardziej że i wieczorne niebo przyoblecło gwiazdzistą szatę. Jedna z par o dość obfitych kształtach intonuje piosenkę o górskich wędrówkach, do której szybko dołączają inne panie, zaś panowie nieśmiało, ale jednak też.

Ni stąd, ni zowąd pojawiły się mocniejsze trunki.

– Wypijesz jednego?

– Nie, nie. Dziękuję bardzo.

– Oj tam, jeden nie zaszkodzi.

– Nie, nie. Naprawdę dziękuję.

– To może whisky? Z Coca-Colą, czy bez?

– Jurek, proszę cię, naprawdę dziękuję.

– Ok. Jakby co, daj znać.

– W takim razie nic tu po mnie, sorry.

Kto potrzebujący? – zwraca się do pozostałych osób przy stole.

– Zdaje się, że on jeden z tych co za kołnierzy nie wylewają – ocenia Weronika.

– Trochę ciszej, bo jeszcze usłyszysz – proszę.

– Co ty taki strachliwy? Nic przecież złego nie mówię.

Chcąc zmienić temat, napomykam, czy wie, jak inaczej się mówi o Łysej Górze.

– Zupełnie wyleciało mi z głowy, a wiedziałam, bo czytałam przed wyjazdem w Wikipedii.

– Święty Krzyż.

– Racja, Święty Krzyż – reaguje mocno ożywiona. – Wiesz muszę ci się z czegoś zwierzyć, to zdarzyło się w klasztorze. Ten duchowny, który zrobił nam te dwa zdjęcia, to tak jakby nam błogosławił. No bo pomyśl, myśmy go wcale o to nie prosili, tylko on sam, jak przechodził

obok nas, zaproponował, że może zrobić nam zdjęcie.

– Widział, że jesteśmy sami to i z dobrego serca zaproponował – odpieram.

– A przez tę moją wadę wzroku tak słabo widzę, że nawet nie wiem, czy był to ksiądz, czy brat zakonny.

– Brat zakonny – mówię mocno poruszony jej niedowidzeniem, mimo że nie od dziś było mi to wiadome, bo jak tylko się poznaliśmy, spieszenie mi to oświadczyła.

– Bardzo ci współczuję – próbuję dodać jej otuchy.

– Przestań – odzywa się szorstko. – Nie chcę, żebyś się nade mną litował.

Od ogniska napływa miłe, ciepłe powietrze, ale z przeciwnej strony daje coraz wyraźniej o sobie znać chłód wrześniowego wieczoru, który szczególnie odczuwają plecy. Na szczęście, przezornie wzięliśmy ze sobą koce.

– Okryć ci plecy? – pytam troskliwie.

– Oj tak i przynieś mi gorącej herbaty, ale koniecznie z cytryną i nie żałuj cukru, dobrze? Staję w kolejce do bufetu. Największym wzięciem cieszy się śledzik, zaraz po nim sałatki.

Wracam, ostrożnie stawiając kroki z uwagi na liczne korzenie sosen wystające z ziemi.

– Cukier jest w papierkach, wzięłem po cztery na kubek, wystarczy?

– Ale cytryny nie widzę, zapomniałeś?

– Wrzuciłem już do herbaty.

– No sam widzisz, jaka jestem ślepa.

– Pewnie dlatego jej nie zauważyłaś, bo spodziewałaś się, że będzie na talerzyku.

– Dziękuję, jesteś bardzo miły.

– Jest też ciasto, masz na nie ochotę?

– Gdybyś był tak dobry.

– Już idę. Jedną porcję wziąć, czy dwie?

– Dwie – odpowiada radośnie. – Jedną dla mnie, drugą dla ciebie.

Wracam z trzema kawałkami sernika krakowskiego.

– Wzięłem trzy porcje, bo wygląda dosyć smacznie.

– Jesteś łasuchem?

– Raczej tak, ale chętnie podzielę się z tobą, a jak będzie mało, to jeszcze doniosę.

– Świetny ten sernik, spróbuj – zachęca.

– Rzeczywiście jest świetny – zgadzam się z nią.

– No, ale jak dla mnie jest jednak za mało słodki – i jakby chciała się usprawiedliwić dodaje – kocham wszystko co słodkie.

– Może w takim razie buziaczka? – rzucam bez zastanowienia.

– Tobie tylko jedno w głowie – Gdy usłyszałem te słowa, pomyślałem sobie „dobrze ci tak gamoni”, ale nagle rozjaśniło się niebo nade mną, kiedy delikatny buziaczek wylądował na moim policzku.

Nie wiem jakim cudem tam się one znalazły, ale wyraźnie poczułem w brzuchu trzepot skrzydełek motyli.

– Nie gniewajcie się – kolega z drugiej strony stołu ponawia propozycję. – Może jednak skusicie się na jednego, ot tak, na rozgrzewkę.

– Dziękujemy, ale jednak nie – odpiera stanowczo Weronika.

– Jak sobie życzycie, ja ze swej strony

uroczyście przyrzekam, że więcej nie będę się naprzykrzał.

– Mimo wszystko, sympatyczny z niego człowiek – rzucam od niechcenia.

– Czuję się teraz jak ryba w wodzie, nie uważasz? – pyta oschle Weronika. – I jeszcze na dodatek udaje gieroja, a na Łysicę ledwie co wszedł, a dyszał przy tym, a sapał, aż w pewnym momencie zaczęłam się o niego niepokoić.

– Uwaga. Uwaga. Szanowni państwo, mam coś bardzo ważnego i miłego do ogłoszenia – nie za wysoki pan, z wyraźną łysiną i resztkami włosów po bokach głowy, odczekał, aż ucichnie gwar rozmów. – Otóż ta pani i ten pan – tu uklonił się siedzącej obok niego parze. – Zapewne dzisiejszy wieczór będą pamiętać, jako bardzo wyjątkowy w ich życiu. Mój drogi przyjacielu, reszta należy do ciebie, ja usuwam się w cień.

Trzymając się za ręce, on lekko utykający, średniego wzrostu, ona zadbana szatynka, dobrze po pięćdziesiątce, podchodzą do ogniska i ku zaskoczeniu większości, pan przykleka jak rycerz przed swą damą, trzymając w dłoniach pudełeczko w aksamitnej oprawie koloru czerwonego. W świetle płomieni ogniska, daje się zauważyć pierścionek z mieniącym się ciemnozielonym szmaragdem. Po rozedrganych słowach „czy zostaniesz moją żoną” i jej wzruszającym „tak”, wybucha burza oklasków, przez które przebijają się okrzyki „niech żyje miłość”.

– Aż się popłakałam.

Spoglądam na nią z dużą uwagą. Faktycznie, papierową chusteczką delikatnie ociera łzy.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Bo jeszcze nie ochłonałem z wrażenia.

– Robi się coraz chłodniej – skarży się szeptem.

– Ojej! Chyba nie chcesz, żebyśmy już sobie poszli – oponuję. – Mimo chłodu, wieczór jest nad wyraz uroczy.

– Chcesz to zostać, ja mam ochotę się położyć.

– Wobec tego, pozwolisz, że cię odprowadzę.

– Daj spokój, przecież to zaledwie parę kroków i nie rób sobie wyrzutów, zostań, tylko nie siedź za długo.

Odprowadzam ją wzrokiem, aż do drzwi wejściowych „Jodełki”. By nie ulec uczuciu osamotnienia, wyjmuję z kieszeni kurtki smartfona. Zdjęcia. Zdjęcia. Mnóstwo tego i z nią i bez niej – do wyboru, do koloru. Na większości z nich uśmiechnięta radośnie, a jeśli nie, to przynajmniej pogodna, odprężona i zawsze chętna do pozowania, taka jakby nienasycona zainteresowaniem jej osobą.

W drewnianym dworku Stefana Żeromskiego w Ciekotach, a też w murowanym dworku Henryka Sienkiewicza w Obłęgorku, gdy celowo szliśmy na końcu wycieczki, aby na spokojnie zrobić kilka fotek, gdy już oni w innym salonie, ona w mgnieniu oka przeistaczała się jeśli nie w panią domu, to przynajmniej w rezydentkę dworku, a to niby stawia wazon z kwiatami na stole, a to właśnie wchodzi na pokój, ba, zdarzyło się nawet, że o zgrozo, pozwoliła sobie na śmiałość, by usiąść na kanapie. Niemal skóra mi ścierpła na myśl, że ktoś z personelu mógłby spostrzec bardzo niestosowne zachowanie. Na szczęście uniknęliśmy reprimendy, a byłaby jak najbardziej słuszna, bo przecież meble jak i cały wystrój wnętrza z czasu, gdy w dworku tym pomieszkiwał Henryk Sienkiewicz.

I tak gapiąc się na zdjęcia, niepostrzeżenie

zapałam w słodką drzemkę, otulony grubym, wełnianym kocem. Budzę się, gdy kelnerka sprząta ze stołów, a wszystko, czy napoczęte, czy nie, i to z tacek indywidualnych, i z metalowych półmisek, łąduje w wiadrze.

Podchodzę do ostatnich biesiadujących.

– Patrzcie, gdzieś na świecie ludzie gło-
dują, a tu...

– A tu Ameryka – rechoce jeden z nich.

– Idę spać, cześć.

– Baj, Baj – odpowiadają mi dwie towa-
rzyszące im panie.

Najciszej, jak tylko potrafię, przekręcam klucz w zamku, nie zapalam też światła. Na dokładkę podejmuję też błyskawicznie de-
cyzję, że tym razem pójde spać bez kapania się, usprawiedliwiając się sam przed sobą, że przecież jeszcze przed ogniskiem, po zejściu z Łysicy brałem prysznic.

Według Himalajów, Łysica to zaledwie pagórek, o wysokości 614 m n.p.m., ale za to najwyższy szczyt Gór Świętokrzyskich i co ją nobilituje, należy do Korony Gór Polskich. Poza tym, ten spacer po nad wyraz kamie-
nistej drodze, bardzo dobrze mi zrobił na moje samopoczucie. Nic tylko dzień w dzień autokar i autokar, a ze wsi Święta Katarzyna, gdzie kwaterowaliśmy, do wsi Ciekoty, w której to stoi pięknie zrekonstruowany drewniany dworek Stefana Żeromskiego, niespełna sześć kilometrów, a i tak pojechalimy autokarem.

Niestety na moje zdziwienie, że może by tak pieszo, dla zdrowia, usłyszałem w odpo-
wiedzi, że jak będę w ich wieku, to też będę wybierał przejażdżkę autokarem, a nie sześciokilometrowy marsz po wertepach, na co ja może i nazbyt porywczo na cały głos rzuciłem: „Ludzie, ja też już mam swoje lata i żaden ze mnie młodziak, jak by się mogło wydawać”. Oni z kolei, że „ślepi może i są, ale nie aż tak” i że bym „przestał sobie żarty stroić”.

Co było robić, machnąłem pojednawczo ręką i tyle, ale w końcu i mnie się trafiło, jak śle-
pej kurze ziarno. Drogę powrotną pokonałem w towarzystwie Weroniki, która w przypływie bezgranicznej szczerości wyznała, że jestem jej największym dobrem, jakie spotkało ją w dotychczasowym życiu.

I tak jak za poprzednich wieczorów, tak i tym razem delektuję się wspomnieniami z wcześniejszych wypraw w ukochane Tatry, podtrzymując w sobie płonną nadzieję, że a nuż mi się przyśni.

Nic z tego, za to rano – koszmarna po-
budka.

– Dobrze się wczoraj bawiłeś?

Nic nie odpowiadam, bo raz, że jestem zaspany, a dwa, jak tylko sięgam pamięcią, ostatnią rzeczą, której pragnę tuż po przebu-
dzeniu, jest rozmowa, nawet z najmilszą osobą pod słońcem.

– O której wróciłeś?

Ja nic, tylko naciągam koldrę na głowę, nie przeczuwając, że to nie przelewki, mimo że ton jej głosu nie jest zbyt miły.

– Co się nie odzywasz? Nie udawaj, że śpisz.

Dopiero teraz czuję, jak wkrada się we mnie niepokój.

– Po powrocie do domu, masz zabrać swoje rzeczy i się wynieść z mojego życia.

Łóżko, mimo że wygodne, w jednej sekun-
dzie stało się Łóżem Madejowym.

Wyskakuję z niego jak oparzony.

– Co się stało? Weroniko, dlaczego tak mówisz?

Drżącymi rękami zakładam okulary. Jest

ubrana w najlepsze rzeczy, jakie zabrała ze sobą na ten wyjazd, nawet delikatnie się umalowała, czego wcześniej nie robiła, a gdy już zachodziła taka potrzeba, szła do salonu kosmetycznego.

– Ślicznie wyglądasz, szkoda, że się częściej nie malujesz.

– Nie próbuj mnie udobruchać, musimy poważnie ze sobą porozmawiać.

– O czym? – pytam zdezorientowany.

– Jeszcze się głupio pytasz? Z tych nerwów nie spałam prawie przez całą noc.

– Chyba nie przeze mnie? – odpieram z niedowierzaniem.

– Nie, a przez kogo? Jak myślisz?

– Nic złego nie zrobiłem, co ty chcesz ode mnie?

– Już Ci powiedziałam, chcę żebyś zabrał swoje rzeczy i wyprowadził się z mojego domu i życia.

– Nie mam dokąd pójść i nikt na mnie nie czeka, ale OK, wyprowadzę się, jeśli tego chcesz.

– Dlaczego wróciłeś nad ranem, aż tak Ci było miło w towarzystwie podchmielonych?

– Jeżeli o mnie chodzi, nie wypilem nawet grama alkoholu.

– Wiem, że przyszedłeś trzeźwy, gdyby było inaczej, od razu bym wiedziała.

– Więc co? – odzywam się mocno poirytowany.

– Ty nie zdajesz sobie sprawy, co ja przeży-
wałam, gdy ciebie nie było i nikomu nie życzę takich przeżyć, choćby najgorszemu wrogowi.

– Zapewne byłaś zaniepokojona – próbuję załagodzić jej wzburzenie.

– Człowieku – wybucha. – Ja piekło mia-
łam w głowie, takie jak przed rozwodem. Nie mówiłam Ci o tym wcześniej, ale teraz powiem, choć bardzo się tego wstydzę. Byłam długie lata żoną alkoholika, czy ty wiesz co to znaczy? No powiedz, rozumiesz to choć trochę?

Wyciągam rękę, żeby ją przytulić.

– Nie dotykaj mnie. A teraz ty, zostałeś tam, na tym pieprzonym ognisku, gdzie, a jak-
że, herbatka czy kawa to za mało, oczywiście musi być też coś mocniejszego.

Biorę głęboki oddech.

– Posłuchaj, Weroniko. Dla świętego spo-
koju przeproszam cię bardzo, chociaż przyznać muszę, że nie czuję się winny.

– Nie będziesz pił?

W jej niebieskich oczach jak na dłoni widać wielki strach.

– Serduszek, dlaczego mnie krzywdzisz? Nigdy nie piłem, nie piję i nie zamierzam pić, bo mnie alkohol zupełnie nie interesuje.

Powiedzieć, że się w tym momencie przy-
tuliła, to tak jakby nic nie powiedzieć. Ona wtula się jak mały bezbronny kotek, spragniony ciepła i dobroci.

– Jesteś pierwszym mężczyzną od mojego
rozvodu, któremu zaczynam ufać. Przepra-
szam, że w przypływie złych emocji plotłam pod Twoim adresem niedorzeczne idiotyzmy, których teraz się wstydzę.

Delikatnie gładzę jej pachnące blond wło-
sy, czując się lekko zażenowany, gdy gwałtownie odchyła głowę i spogląda mi prosto w oczy.

– Tak prawdę mówiąc, gdybyś wrócił ze mną, nie byłoby tej przykrej rozmowy.

– Byłbym znacznie wcześniej, gdyby nie szachy – próbuję się jakoś usprawiedliwić.

– A co ma piernik do wiatraka? – na jej twarzy wyraźnie maluje się zdziwienie.

– Ano ma, bo widzisz, kiedy wracałem z ogniska, zapytałem tego pana na recepcji, czy mają jeszcze wolne pokoje na Boże Naro-

dzenie i Sylwestra, bo podobno w Zakopanem większość jest już objęta rezerwacją, on mi na to, że tu jest podobnie, że jeszcze trochę, a nie będzie już wolnych miejsc, a gdy zbierałem się do odejścia, spostrzegłem, że na stojącym w recepcji stoliku, jest rozłożona szachownica, więc zapytałem:

– Sam pan gra?

On mi na to.

– Sam, wie pan, przez to trochę czas szybciej schodzi i spać się tak bardzo nie chce – i zapytał z wyraźną nadzieją:

– Pan też szachista?

– Taki, wie pan, od siedmiu boleści – zastrzegłem się z góry, czując, że szykuje się partyjka. I faktycznie zaproponowałem partyjkę. Jak już się domyślasz, nie odmówiłem. Pierwszą partię nawet, o dziwo, wygrałem, z trudem, bo z trudem, ale wygrałem. W drugiej nie dałem już rady, mówię Ci, grał jak z nut, nawet tak sobie później pomyślałem, że być może dał mi wygrać pierwszą partię, żebym nie odmówił następnej gry.

Chcę coś jeszcze mówić, gdy zauważam, jak osuwa się na łóżko.

– No nie, ręce opadają.

Siedzi mocno pochylona z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie przyszło Ci do głowy, żeby za-
dzwonić do mnie i powiedzieć, że przyjdiesz później, bo właśnie grasz w szachy?

– Przyszło, a jakże, ale też pomyślałem, że być może śpisz, więc lepiej zrobić, jak nie będę cię z tak błahego powodu budził.

Wtem zrywa się z łóżka na równe nogi.

– Powiedz mi, Waldku, ale tak z ręką na sercu. Nie zostawisz ty mnie?

Mimo silnego wzburzenia odpieram spokojnie:

– Nie, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – dopytuje rozgorączkowana.

Z trudem przełykam ślinę, czując parali-
żujące onieśmienie.

– Że nie każesz mi wyprowadzać się z twojego życia.

Zarzuca mi ręce na szyję, a sekundę póź-
niej odsuwa się jak oparzona.

– Ty jesteś cały rozdygotany.

Szybko spieszę z wyjaśnieniem:

– To przez ten lodowaty prysznic, który mi zafundowałaś z samego rana.

– Och, ty słodki wariacie, nie masz poję-
cia, jak bardzo jesteś mi bliski.

Widząc, że stoję jak słup soli, potrząsa mną bezceremonialnie.

– No, uśmiechnij się do swojej pani.

Nie uśmiecham się, w zamian całuję ją w policzek i idę się ogolić. ♦

W związku z nagłą chorobą naszego sekretarza redakcji, pana Stefana Pastuszewskiego - założyciela, mentora i serca Akantu, w połowie czerwca została założona zbiórka na jego rehabilitację.

*Chętnych prosimy o wpłaty na:
www.zrzutka.pl/jm5b5n.*

*Z góry dziękujemy za każde wsparcie!
Bogdan Dzakanowski*

Magdalena Łubkowska

Imbir

siadamy do posiłku jak dawniej
nad stołem wisi obraz z synogarlicami

przez okno wpłża popołudniowe światło
wybielone oddechem którego coraz bardziej
brakuje

białe głosy mają większą siłę rażenia
wylewają się z brzegów znikają w szczelinach
i zjadają wzajemnie zanim wyrzuci je z siebie

od białych głosów zaczynają się cmentarze

podaję matce słowa które nie przechodzą
przez jej zgarbione plecy bo nosi ciało
które komuś już kiedyś umarło

wszystko co złe utkwilo w mięśniach
wywołuje w żołądku nowe stany skupienia

na mdłości najlepszy jest imbir mamo

niebo zabrało jej
wszystkie sny

w czterech ścianach ciszy
prowadzi ze sobą dialog milczenia

dwie garści łęku wyrzuca
w powietrze

płuca pełne niecierpliwego oddechu
odmierzają czas i kolejne dawki leków

ostatni list wypada za okno
przed świtem

Głód

po jej szorstkich dłoniach poznałam
ilość powrotów po to co najtrudniejsze

kocie łby naszego podwórka przypominają
rozchylone usta figurek z miejscowej kaplicy
w której wspina się na palcach po słowa
modlitwy wtopiły się w skórę

wstrzegaj się prośby na końcu języka
ziemia zamieni się miejscami z niebem
popiół z solą

chleb nie zaspokoi głodu

będziemy czerpać z ziemi
będziemy odchodzić pojedynczo

Unerwione

teraz wrasta w cień między otwartymi
ramionami obejmuje blizny na jego ciele

unerwia pamięć pod niedomkniętą powieką

wieczory jak miękkie szkło upadają
pod nogi

po drugiej stronie widać rzekę i most
przypominający jego zgarbione plecy
gdy odchodził

Insomnia

Przychodzisz do mnie w snach, wyczuwam
twoją obecność tuż po zamknięciu powiek.
Przychodzisz nocami, ciemność łagodzi ból
i strach przed mimowolnym oswojeniem.

Milczymy. Cisza jak brzytwa tnie między nami
to, co już dawno umarło, a teraz martwe wychodzi
na powierzchnię.

Trzymamy w ustach garść zbolących, niechcianych
pożegnań. Niezagojone słowa przyrastają do krtani,
łączą się w pary i puchną z bezużyteczności.

Patrzysz na mnie w rytmie wdechów i wydechów;
boisz się dotyku, który przekroczy granicę i odbierze
mnie na zawsze. A potem odbierze ci pamięć.

Obie cierpimy na bezsenność. Obie pragniemy
zamienić się miejscami ze sobą lub kimkolwiek,
kto zrozumie.

*Zanurzamy się w rzece, woda zmywa z nas to,
co słabe i trudne. Wszystkimi szczelinami ciała
czujemy ulgę.*

Któregoś dnia spotkamy się we właściwym czasie
i miejscu. Zrzucimy starą skórę, stworzymy się na nowo.

Bez bólu. Bez pamięci.

Jasionka*

teraz częściej przychodzę nad wodę
od kiedy cię nie ma przesiewam światło

mówią że Jasionka odbiera pamięć
więc każdego dnia wchodzę głębiej

fale z czułością dotykają skóry
jak twoje dłonie gdy gładziłaś włosy

noszę w ciele obrazy jak pochylasz się
nad stołem czy parzysz zieloną herbatę
zerwane korzenie osiadają na dnie oka

między porami roku ziemia płynie
jak ciemnia unerwia co nieoswojone

mówią że woda zabiera pamięć
każdego dnia bardziej oddalam się
od brzegu

** Jasionica, Jasieniczanka, potok w powiecie
bielskim, w górnym biegu znany jako Jasionka*

Prawda: nauka, religia i sztuka

Prawda – czym ona jest? Lapidarnie można powiedzieć, że to zdanie oznajmujące wyrażone na temat danego faktu, tak jak ma czy miało to miejsce w rzeczywistości. Ogólnik, który niewiele nam mówi. Również definicja klasyczna wskazująca na właściwość sądów polegającą na ich zgodności z faktycznym stanem rzeczy, których dotyczą, w moim odczuciu, nie zmienia zbyt wiele.

Problemem zdefiniowania pojęcia prawdy zajmowali się filozofowie od zawsze. Arystoteles próbował przybliżyć jej istotę w *Metafizyce* pisząc: „Powiedzieć, że istnieje, o czymś, czego nie ma, jest fałszem.

Powiedzieć o tym, co jest, że jest, a o tym, czego nie ma, że go nie ma, jest prawdą”. Na jego spostrzeżeniach opiera się wspomniana klasyczna definicja. Niewiele mądrzejsi jesteśmy. Może więc warto zwrócić się do czasów jeszcze wcześniejszych, nawet przedsokratejskich i zobaczyć co na ten temat ma do powiedzenia twórca szkoły eleackiej, Parmenides. To on jest twórcą opowieści o Alethei, czyli greckiego uosobienia prawdy. Samo słowo można tłumaczyć jako: nieskrytość, ujawnienie, światłość, rzeczywistość. Była córką Zeusa, boginią i personifikacją prawdy przeciwstawianą w mitach kłamstwu. Parmenides, ojciec ontologii kojarzył ją z bytem,

a o niej samej we wspomnianej opowieści pisał: „Bogini powitała mnie uprzejmie, biorąc mą prawą rękę w swoją, i skierowała do mnie słowa: <Młodzieńcze, przybyły do mego domu wraz z nieśmiertelnymi woźnicami i klaczami (co wynika z wcześniejszych, nie cytowanych słów opowieści – przyp. J.O.), które cię wiodą, witaj.(...) Trzeba, byś poznał wszystko, zarówno niewzruszone serce dobrze zaokrąglonej prawdy, jak i mniemania śmiertelnych, na których nie można rzeczywiście polegać. Mimo to powinieneś je poznać – jak to, w co się wierzy, musiało być rzeczywiście przenikające wszystko na wskroś”. W centrum zainteresowań Parmenidesa jest wędrówka ku światłu poznania i rozróżnienie prawdy od mniemań śmiertelnych, bo wszystko „(...) to, w co się wierzy, musiało być rzeczywiście przenikające wszystko na wskroś.”

U Parmenidesa, pomimo że stanął w jej obliczu, aletheia nie była czymś oczywistym, a z pewnością wymykała się definicji. Co było tego przyczyną? I co nadal jest? Na drugim przeciwstawnym biegunie pojawia się inna bogini, której na imię Maja. W mitologii greckiej to bogini matek karmiących, dobra matka, żywicielka. Ale w hinduizmie znaczy zupełnie co innego. To złudzenie. To bogini, która przesłania prawdziwą rzeczywistość. Jest kluczową boginią ponieważ poprzez nią ludzie nie widzą swojej prawdziwej natury. Maja jest uwięzieniem w złudzeniu, czyli czymś co nie jest prawdą. Oczywiście nie będziemy tu zgłębiać istoty hinduizmu i buddyzmu. Chodzi tylko o to, by zauważyć, że mamy do czynienia, gdy mówimy o prawdzie, z jej stanowczą oponentką, czyli Mają. Złudzeniem, że coś jest prawdą. Tym niemniej będziemy chcieli być w wędrówce ku alethei, ku światłu, ku prawdzie tak, aby wszystko było „rzeczywiście przenikające (...) na wskroś”, że po raz drugi powtórzę.

Pierwszym zauważeniem, gdy pojawia się u mnie słowo prawda, jest swego rodzaju trójca: nauka, religia i sztuka. Według mnie to trzy filary, które tworzą naszą rzeczywistość. Nauka, bo to usystematyzowany zbiór wiedzy o niej. To wynik badań prowadzonych zgodnie z jej metodą. Religia, bo to system wierzeń, który łączy człowieka z sacrum. Natomiast sztuka gdyż to działalność, która tak przedstawia rzeczywistość, aby zmusić odbiorcę do refleksji. Jednak one wszystkie, a każda na swój sposób, mają pewne ograniczenia.

W książce *Wierzący naukowiec* Stephen M. Barr pisze: „Istnieje wyraźna analogia między ograniczeniami naukowca i teologa. Naukowiec musi poddać swój umysł danym pochodzącym z eksperymentu, teolog musi poddać swój umysł danym pochodzącym z objawienia.” Natomiast co do artysty: „Artysta może sobie wyobrazić wszystko, co mu się podoba.” Co do naukowca i teologa zgodzę się bez zmruczenia oka. W nauce zanim coś zostanie uznane za prawdę musi być doświadczalnie sprawdzalne, eksperyment powtarzany winien dawać takie same wyniki. Teolog natomiast swoje badania będzie widział zawsze jako proces, w którym Bóg ujawnia się człowiekowi. Ujawnia się Jego

dokończenie na str. 16

Pierwszy wśród literackich kwartalników



Mieczysław Czychowski

(1931 - 1996)

Palenie w piecu

Pozbierałem rozrzucone:
rozruciłem obumarłe.
Ile trzeba się natrudzić,
żeby zlepić z prochów – gamek.
Gamek w domu – rzecz potrzebna,
na miód pszczeli i gorczycę.
Siedzę teraz. W piecu palę.
I u ręki palce liczę.
Liczyć palce – rzecz okrutna.
Łatwa. I ogromnie smutna.

W numerze prezentujemy prace Danuty Joppek
Plakat poetycki: Artur D. Liskowacki, Do czego służą wiersze
Plakat: Danuta Joppek
Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Adres redakcji: 80-419 Gdańsk, ul. Dubois 59
e-mail: joa@migotania.pl, tel. 601 840 302

Prawda...

dokończenie ze str. 15

istota i wola poprzez wydarzenia i słowa. Natomiast jeśli chodzi o artystę miałbym pewne wątpliwości. W istocie „*Artysta może sobie wyobrazić wszystko, co mu się podoba.*” Nie ma tych ograniczeń, które by stawiała mu nauka czy religia. Tym niemniej jego „ograniczenia” są innego rodzaju, albo lepiej – innego pochodzenia. Brak tu ścisłych reguł, co z pewnością miał na uwadze Stephen M. Barr, lecz owe wynikają z tego, co kiedyś poeta Mieczysław Jastrun nazwał artystyczną wygraną. W sztuce, tak jak u naukowca czy teologa, też wszystko musi się zgadzać. Musi pojawić się pewna zgodność z rzeczywistością, sztuka musi w tym sensie być wiarygodna, czyli godna wiary, że tak być może, jest, lub było. Stąd też słówko ograniczenia pomieściłem w cudzysłowie, bo nie jest to ograniczenie sensu stricte, a wynikające, by tak rzec, z samego samego zamysłu tworzonego dzieła, jego istoty, czy idei. W najbliższej mi literaturze byśmy powiedzieli z dnia się relacji słownych. Gdy te relacje są zaburzone, mało kompatybilne mamy do czynienia ze zwykłą grafomanią. To tam piszący może sobie wyobrazić i pisać wszystko to, co mu się podoba. Ale o tym *Wierzący naukowiec* Stephen M. Barr nie musiał przecież wiedzieć.

Tym niemniej te trzy filary: nauka, religia i sztuka są tymi, gdzie autentycznie dzieje się poszukiwanie prawdy. Gdzie wciąż obecna jest aletheia i gdzie wciąż towarzyszy jej Maja, ta hinduska bogini złudzenia.

Co jest czym? Jak sobie to przybliżyć? Z mojego, czysto artystycznego punktu widzenia, wygląda to tak:

prawda ma miejsce wtedy gdy zamienia się w obraz
oraz mit odzęgnyje się od bajki która czasem
chętnie się podszywa

To pierwsze słowa wiersza *Prawda* z tomu *Ponad chmurami*. Mit może, by tak rzec, nieść prawdę w odróżnieniu od bajki, która jedynie jest nośnikiem pewnego morału, który będziemy uznawali za właściwy. Jednak istotą jest to, że prawda zawsze jest pewnym obrazem, jeżeli pojawia się obraz. Nie uznamy za prawdę czegoś, co w naszym wyobrażeniu nie pojawi się w postaci obrazu. Nie przybliży nam się właśnie w tej postaci. Takim obrazem w nauce będzie z pewnością sprawdzalność danego eksperymentu, w religii zgodność z objawieniem, w sztuce, a w tym przede wszystkim w literaturze, zgodność przedstawionego obrazu proponowanego przez artystę z wiarą godną rzeczywistości. Tylko wtedy mówimy o prawdzie. Wszelki inne twory nigdy nie wydają nam się być prawdziwe. Są to dla nas:

konstrukcje słowne abstrakcyjnych wyjaśnień

I one:

tylko mieszają nam w głowie
drętwe subskrypcje myśli

Ale, zwróćmy uwagę, to właśnie one, te „*drętwe subskrypcje myśli*” często zaprzatają nam głowę. Na przykład podczas nocnych wybudzeń pojawia się jakaś myśl, która nas dręczy i nie pozwala nam spać. Psychologowie mówią, że ponad 70% naszych myśli ma charakter negatywny. Pojawiają się nawet obrazy, ale one nie mają nic wspólnego z obrazami, o których mówię w kontekście prawdy. Są wytworem wtórnym owych myśli, a nie pierwotnym prawdy. Ogarnia nas, pisząc lapidarnie – Maja.

A zatem prawda nauki – tak, prawda sztuki – tak, lecz co z tym wszystkim ma wspólnego religia, która z samego założenia jest wiarą, a nie prawdą? To pytanie brzmi tak jakbyśmy byli na początku tego eseju, a nie w jego trakcie. Tym niemniej musiało się pojawić, aby w drodze do prawdy nic nam nie umknęło. Na początek chcę zwrócić uwagę, że naukowiec chcąc kontynuować swoje działania w danej dziedzinie musi wierzyć w powodzenie swych eksperymentów. Bez tego jego działania nie mają sensu. Nie jest on maszyną orzekającą o powodzeniu lub nie danego eksperymentu, lecz obejmuje rozumienie znaczenia, które mówi o prawdzie lub fałszu. Tym samym „*Prawda nie może wkroczyć do umysłu, który nie jest na nią uprzednio otwarty; nie może poruszyć umysłu, którego ruchy są już podyktowane <ślepą przyczynowością naturalną>*” Ostatnie słowa dotyczą materializmu, odwiecznego wroga religii. A cytat pochodzi ze wspomnianej książki *Wierzący naukowiec* Stephena M. Barra. Dowodzi on, że między nauką a religią nie ma dysonansu. Religia i nauka nie są sobie przeciwstawne, a wręcz sobie przeczące jakby to widziało wielu, lecz przeciwnie ich relacja jest bardzo bliska. Pierwszym z rzędu jest postać Darwina, twórcy teorii ewolucji, od którego wszystko tak naprawdę się zaczęło, który, o czym wie niewielu, był człowiekiem wierzącym w Boga. To później coś poszło nie tak. Ale nie o tym tutaj. Istotą jest fakt, że prawdy nauki tak naprawdę determinowane są niczym innym jak wiarą, że eksperymenty się powiedą i coś okaże się prawdą. To wolność człowieka i wiara w to, to powodują. Bo tak naprawdę, jak napisał Stephen M. Barr, emerytowany profesor fizyki na Uniwersytecie Delaware zajmujący się kosmologią wczesnego wszechświata: „*(...) opierając się na mechanice kwantowej, sir Rudolf Peierls (...) powiedział: <Założenie, że można opisać w kategoriach fizyki całą działalność człowieka, w tym jego wiedzę świadomość, jest nie do utrzymania. Wciąż czegoś brakuje>*”. Można powiedzieć, że brakuje tego co nazywa się Bogiem i to „wciąż” zawsze będzie się powtarzać przez następne setki czy tysiące lat.

Ale wyobraźmy sobie, iż to „wciąż” przestaje istnieć. Czy to znaczy, że tym samym Bóg nie istnieje? Tak by pomyślał każdy zagorzały materialista. Lecz, wbrew pozorom, by zadziało się wręcz coś zupełnie odwrotnego. To by był koniec nauki,

bowiem wszystko by zostało już powiedziane, wszystko rozwiązane, a Ziemia by stała się Rajem i to bez zakazanego drzewa. Tylko jak to wtedy nazwiemy? Z pewnością nie nauką, bo ta spełniła już swoją funkcję. Sztuka by miała tu wciąż wiele do powiedzenia. Jak się treściowo w tym usytuujemy. Powiemy, że jest nam bosko. Bóg pojawia się samoczynnie. Jakkolwiek byśmy ten nasz stan nazwali, np. idealnie, to tylko inna nazwa tego samego. Bóg z pewnością się nie obrazi, gdy nazwiemy go ideałem, absolutem, czy jak kto chce inaczej. On jest, był i będzie, nawet gdy wspomniane „wciąż” nie miało by już racji bytu. Ale ma. Bo jeszcze, Bóg uważa, nie jesteśmy na tym etapie rozwoju swojej wolnej woli, aby było inaczej.

Stąd:

prawda ma miejsce również w Słowie
gdy dzieje się taka potrzeba
by rozjaśnić chwilę

Tak. Bo prawda to również wiara. A wiara to nasza właśnie wolna wola bez której byśmy byli tylko składającymi się z mięśni, kości, krwi i innych wnętrzości maszynami. Maszynami, które potrafią powiedzieć to jest prawdą a to nie, ale w sposób wtórny do człowieka. A zatem skoro wolna wola to nieodparcie pojawia się pojęcie duszy. A ta „*(...) nie może być otwarta na dobro moralne, jeśli jej poczynania są zdeterminowane przez ślepą, naturalną przyczynowość fizyki, chemii i biologii. To nasza wolność umożliwia nam otwarcie się na prawdę, piękno i dobro.*” jak czytamy w *Wierzącym naukowcu*. Stąd też „*zaczynamy rozumieć, jak można dojść do wniosku, że nie wszystko, co się dzieje, jest procesem fizycznym, który można opisać równaniami fizyki.*” A może można, ale to i tak nic nie zmienia jak dokumentowałem wcześniej.

Prawda to więc dobrze rozumiana nauka, a w tym, by można powiedzieć, religia i – sztuka. Ta ostatnia, wbrew pozorom, ma bardzo dużo do powiedzenia. Brak jej ograniczeń, które narzucają dwie pierwsze (o czym była mowa wcześniej) i pomimo własnych ograniczeń ma możliwość najbardziej zbliżenia się do niej. I zawsze modli się o to, by Maja była jej obca. Stąd też i moje słowa:

prawda jest także ptakiem na drzewie
słońcem albo z niego cieniem
cichą drogą przyrody

prawda się nie narzuca
ale zawsze czeka
na twą wolną wolę

Bo to ona jest tu, jak wynika z wcześniejszych przemyśleń, najbardziej istotna. Bez niej nie ma tak naprawdę nauki, religii, no i sztuki. A tylko te trzy mogą o niej mówić. Nie wiem i się nie dowiem, co o tym by sądził Parmenides, który w swej opowieści do niej dotarł, ale, być może, by się ze mną zgodził. Że tedy droga do „*dobrze zaokrąglonej prawdy*”. ♦

Stefan Pastuszewski

Pies

– Suka nie da, pies nie weźmie...

Żuł te słowa w myślach i żuł jak ten niedogotowany kawałek golonki, którego żał było wypłuć, bo przecież zapłacona. Kawałek jej nawet włożył w szczelinę między zębami i na pewno rano, podśmierdła już nieco, bo takie ma przecież doświadczenie z tą szczeliną, wydłubać go trzeba będzie rozszczepioną zapalką, bo wykalacek w domu nie ma, no bo i po co.

Gadali – jak zwykle w tej fazie picia – o babach, przechwalali się i żalili w zależności od temperamentu i stopnia zamroczenia alkoholowego, a że byli to mężczyźni heroiczni, jak wszyscy zresztą mężczyźni, to brali odwet na tych głupich babach filozoficznymi mądrościami.

– Baba zawsze do siebie garnie, cały świat widzi tylko przez siebie, przez swój interes, korzyść.

– Moja to...

– Jaka tam twoja?! – przerwał mu Krystian. – Czy ty wiesz, kto ją teraz obraca?

Łukasz niczym znokautowany bokser omiotł półprzytomnym wzrokiem twarz kompanów i wpatrzył się w oczy Krystiana, jakby szukał u niego rady co ma robić. Iść do domu czy nie iść?

– Broń cię, Panie Boże – zrozumiał to nieme pytanie Krystian. – I tak niczego nie zmienisz. Co ma być to będzie.

– Wszystko od kobiety zależy. To takie polowanie, że to zwierzyna upoluje myśliwego, któremu głupiemu – oh, jak mężczyzna zakochany jest głupi – wydaje się, że on tę sztukę upolował – bełkotał jakby do siebie Wiesław. Nie do siebie, bo Robert wystrzelił z tym właśnie:

– Suka nie da, pies nie weźmie.

Pamiętał te pierwsze chwile znajomości. Mówiła dużo, bardzo dużo i uśmiechała się, oh, jak się uśmiechała! Równiutki rządki śnieżnobiałych zębów i błyszczące, czarno-brązowe oczka. A potem telefony o różnej porze. Niby dla rozwiązania jakiegoś problemu, bo zaczęli współpracować w ubezpieczeniach, a potem już zwykle „co słychać”. Po to, aby tylko usłyszeć głos partnera. Bo stali się partnerami, przyjaciółmi jak to się mówi. Na boku. Potem nagle, nie wiadomo dlaczego, wszystko się urwało.

– A teraz... Co robi teraz?... Co ona teraz robi? Gdzie jest?

Taka go rozpacz opanowała, takie wewnętrzne rozżalenie, że zaczął szczekać, ba, żeby tylko szczekać, wyć.

– Hau, hau, hau, y-y-y. Wrr.

Tak go to chwyciło, że nie ustał w taksówce, którą go Krystian do domu pilotował. I w domu. Jęk był tak uporczywy, że żona, która go ułożyła na kozetce, a sama zamknęła się w sypialni, musiała włożyć zatyczki do uszu. ♦

Tomasz Walczak

Jest taki wiersz

Monika Zająć-Czerkies

Przywołanie śmiechu Nieobecnych

*małe, pulchne łapki
szorstkie, z egzema, zmarznęte*

*pełno butów gotowych do drogi
walizek do wypchania przyszłością*

*kieszenie na kasztany, drobne, kęs chleba
butonierka na wizytówkę
tę ważną
z adresem, gdzie piwnica zamiast salonu*

*tam wszystkie ręce milczą
oddech truchleje
usta w gorączce szepczą
o ostatnich żniwach, bańce mleka
teraz wszystko się rozmywa
smak mleka i dłonie babci*

*krąży nad nimi ciemna, wilgotna piwnica
gdzie latarnia czarnoksiężska
emituje upalne lato*

*ze śmiechem Nieobecnych
i szczekaniem psa*

w tle

**Pamięci mojej Przodkini, Moniki z Łasiców Zmoro-
rowej, ratującej Żydów w Przemyślu*

Wiersz Moniki Zająć-Czerkies „Przywołanie śmiechu Nieobecnych” buduje swoją siłę nie na rekonstrukcji wydarzeń historycznych, ale na przesunięciu uwagi w stronę śladu. To nie jest opowieść o przeszłości rozumianej jako ciąg zdarzeń, lecz o tym, co z niej zostaje w materii świata. Wiersz działa jak powiększenie drobnych elementów rzeczywistości takich jak dłonie, buty, kasztany, piwnica, wizytówka z adresem.

To one niosą ciężar doświadczenia, nie abstrakcyjne pojęcia.

Już początek, w którym pojawiają się „małe, pulchne łapki szorstkie, z egzema, zmarznęte”, ustawia perspektywę bardzo konkretną i cielesną. Nie ma tu dystansu historycznego ani narracyjnego wyjaśnienia. Jest ciało w stanie narażenia, ciało zapisane chorobą i zimnem. W ten sposób wiersz od razu odrzuca monumentalność opowieści i wybiera mikroskopijność doświadczenia.

Kolejne obrazy, takie jak „buty gotowe do drogi” czy „walizki do wypchania przyszłością”, wprowadzają napięcie między ruchem, a jego niemożliwością. Przyszłość zostaje tu potraktowana niemal ironicznie, jako coś, co nie może zostać spełnione, choć jest pakowane jak rzecz. Walizka nie zawiera przyszłości, ale jej pozór. W tym miejscu wiersz pokazuje, jak język codzienności zaczyna się rozpadać pod naciskiem sytuacji granicznej.

Ważnym momentem jest fragment o „kieszeniach na kasztany, drobnych, kęs chleba”. Dziecięce przedmioty i gesty zostają zestawione z koniecznością przetrwania. To nie jest jeszcze pełna trauma, ale jej narastanie. W tym obrazie szczególnie wyraźne jest to, jak świat dziecka zostaje powoli podporządkowany logice ukrycia i braku.

Wers o „wizytówce z adresem, gdzie piwnica zamiast salonu” wprowadza kluczową zmianę przestrzeni. Dom przestaje być miejscem otwartym i bezpiecznym, a staje się strukturą odwróconą. Piwnica zastępuje salon, czyli to, co ukryte zastępuje to, co jawne. W ten sposób przestrzeń traci swoją normalną funkcję i zaczyna służyć przetrwaniu.

W środkowej części wiersza pojawia się obraz milczenia i zaniku mowy. „Tam wszystkie ręce milczą oddech truchleje usta w gorączce szepczą”. Język zostaje zredukowany do szepotu, a nawet on nie pełni funkcji komunikacyjnej w pełnym sensie. Jest raczej śladem życia niż próbą porozumienia. W tym miejscu wiersz po-

kazuje, jak doświadczenie graniczne zmienia samą możliwość mówienia.

Szczególnie istotny jest obraz „smaku mleka i dłoni babci”, w którym pamięć nie działa jako opowieść, ale jako zapis zmysłowy. To, co zostaje, nie jest historią, lecz fragmentem doznań. Właśnie w takich miejscach wiersz ujawnia swoją najważniejszą logikę. Pamięć nie jest tu uporządkowaną narracją, ale rozproszonym śladem.

W finale pojawia się „latarnia czarnoksiężska”, która emituje obraz „upalnego lata ze śmiechem Nieobecnych i szczekaniem psa”. Ten fragment działa jak projekcja pamięci, coś w rodzaju wewnętrznego kina, które na chwilę przywraca obrazy utraconego świata. Jednak nie jest to powrót rzeczywisty, lecz chwilowe ożywienie tego, co istnieje już tylko jako echo.

Wiersz Moniki Zająć-Czerkies nie opowiada więc historii w sensie linearnym. Raczej pokazuje, jak historia zapisuje się w drobnych elementach świata i jak pozostaje w nim jako ślad. „Nieobecni” nie są tu tylko figurą tych, którzy odeszli, ale również znakiem świata, który istnieje już tylko w fragmentach. W tym sensie wiersz jest próbą uchwycenia pamięci nie jako opowieści, ale jako przestrzeni, w której przeszłość nadal drży, choć nie daje się już uporządkować w całość. ♦

„Akant” do bibliotek

Coraz więcej bibliotek, które nie mają prawa do otrzymania egzemplarza obowiązkowego (tylko 15 bibliotek), przesyłanego przez Poczta Polska za darmo, **prosi o „Akant”**.

Nie jesteśmy w stanie sprostać tym potrzebom, bowiem wysyłka jednego egzemplarza kosztuje 7 złotych, co w skali całego roku daje około 100 zł. Prosimy więc Czytelników i Autorów o wpłacenie na cel wysyłki bibliotecznej dowolnej kwoty. Co miesiąc publikować będziemy efekty zbiórki oraz informacje, która biblioteka została objęta tą akcją. Wpłacając na ten cel można też wskazać bibliotekę, którą należałoby wzbogacić „Akantem”. Najpierw należy zapytać się o zgodę.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem *Biblioteka*.

Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Nr konta Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
0312401183111001002291025

Kazimierz Kyrz Jr

Jasność

w gronie przegrywów
nieudacznik jest królem

po latach wspominając samego siebie
punk Ogito pojał
że był potwornym romantykiem

nie żałuje jednak Nietschego
lepsze to
niż stałe dyżury przy ścianie płaczu

Koniec końców

punk Ogito i inni weterani sceny
nie okazują skruchy
gdzy grają na rozstrojonych gitarach

w końcu kto głuchemu zabroni

Emocjonalna posucha

przygotowywana w laboratoriach
epidemia obojętności
rozsiewa się jak rak

punk Ogito zna skuteczną szczepionkę
na tę dolegliwość –
gdyby mógł ją opatentować
byłby najbogatszym człowiekiem na świecie

świecie bólu

Zwycięstwo na opak

punk Ogito wędrował w poszukiwaniu
świętego Graala spokoju
te peregrynacje kosmary mu
zafundowały i nic poza tym

aż w końcu widzenie peryferyjne skłoniło go
do odważnych decyzji
zawrócił i wkrótce
po nitce do kłębka nerwów
dotarł

Natalia Grudzeń

Ziemia obiecana

no przecież mówiłem ci
że nie można mazać gumką wszystkiego
zmażesz grzechy i twoja krew

przecieknie przez kartki papieru
pierwsze słowa rozpoczną się od śmierci
boga jego mordu i przelanej wody

jutro nie będzie śladu
ciało przecieknie ci przez duszę
z rany powstaniesz

no rzuć kamieniem
kto umie w początki

Dorota Czerwińska

ciało

ulica poszerzona była o trzy czwarte lasu
nikt nie żałował bowiem zabrakło powierzchni
do krzyku i zrywania bruku

nawoływał trybun

a więc wylał pomyje tłum szarpał i miotał
szurał tekturą z pudeł naprzeciw tłumowi
który wznosił odwrotnie podobne protesty
sztucznie generowane prawdziwe bazgroły
farba biała czerwona głos przeciw głosowi

i tak szli i tak biegli cofając

ku przodom

Iwona Orzechowska-Wiater

Sącząc cydr

Wyroili się w nadmiarze w mojej
głowie i wymknęły bez pytania mnie
o zgodę. Murmuracją myślokształtów

przemieszczają się nad miastem.
Już mniej moje. Sobie własne. Tną
obłoki w piany strzępy, koślawia
krawędzie dachów, szybom mącą ostrość
spojrzeń. Patrzą z dala

z niepokojem. Może nie powinnam była.
Może złapię je z powrotem. Poupycham
gdzieś po kątach i pokątnie
będę w ciszy z nimi żyć. Wznosząc toast
za ich karność z samą sobą sączyć cydr.

Natalia Grudzeń

Oczy przeciekają mu przez

palce gdy po raz kolejny próbuje chwycić
twarz w dłonie a głowa wibruje wymyka się
z rąk w jego wnętrzu zamieszkało stado motyli
rosną w nim kiełkują w sokach trawiennych

wychodzi z domu o wpół do siódmej i zawsze
chowa się za swoim brzuchem kiedy wraca
puszcza go pozwala motyłom spać
a one budzą się i śnią kosmary

Dorota Czerwińska

zwierzę

mój kot boi się klaunów
zdejmuje więc przed drzwiami
czerwony nos białą farbę
szminkę co robi usta

kot w naturalnym futrze
niezmiennie ma wywalone
gały
na sztuczną nagość

i grę

IRONIE

Michał Piechutowski

Życie bywa skomplikowane

Zniknął na skroni ślad po kuli
Którą walnął mnie żebrak
Przebrany za księcia

Musiałem użyć sztucznej blizny
Żeby móc się jakoś
Usprawiedliwić przed lustrem

Nie mam ochoty pić
Z mieszkającym w nim facetem
Bo brakuje mu głębi

Jacek Jaszczyk**List z emigracji LXXX**

1.
Kasztanowce, miłorzęby, brzozy,
oczy borsuka otwarte w gęstym świetle,
wilgoć sycąca rozkołysane trawy zbierana
przez trzmielę z rozrzuconych polnych dróg.
Kopce usypane przez karczownika,
termity rozkładające celulozę w rytmie oddechu kosa.
Drewniane dachy nieistniejących już chałup,
z których niejedna wichura uformowała przestrzeń.

2.
Rozmawiam z wami ruchami warg, na których
słońce odmierza między nami czas przejściowy,
nad nim lipy szumiąc we wszystkich dziuplach
wydrażonych na Irlandię, ofiarowały obłokom pieśni.
W ich słowach wikingowie snują wciąż opowieści
o zdobyciu Rusi Kijowskiej, która wkrótce zapłonie
w oczach upolowanego niedźwiedzia.

3.
Obok ucicka obraz plemienia kretów drążących dołki,
gdy nad fiordami i ciasnymi zatokami foki i ryby
uzgadniają rzeki bieg, nad którym osadnicy
hodujący krowy i owce, zaginają lipowymi różgami
horyzont, z którego do oceanu zmęczona zesła
Mleczna Droga oplatająca Galway.

Marcin Liszkiewicz**Plaża w Collieston**

Wody zalały piaskową krtani
oddechem głębokiego spokoju
dwie głębie: cyjanowe indygo
huśtają psy
wierne zwrotnikowym ludziom

Paweł Czerkowski**Wyniesione z domu**

Wierzyłem: w wieżę, browar, kościoły dwojga konfesji.
W końcu w szkoły przygotowujące do wyfrunięcia
STAD.
I w targ, na którym pytają: Czy płatne w koronach?
Jeszcze w kasztany nad Olzą.
I zabrali je ze sobą w plecakach,
W walizkach
Wczoraj.
Wieża coraz niższa.
Mieszkamy już w piwnicy.
O 3:00 kolejne wymeldowanie.

Małe miasteczka

Małe miasteczka, takie do trzydziestu tysięcy
wysychają;
Krople zastygają na szkle,
przypominając słoiki z pędzlami.
Dawno nieruszone remonty,
Stara farba z pobliskiej fabryki kiśnie.
W oczach miasteczka czai się choroba,
Na imię jej „Do wynajęcia”.
Wstydu nie ma już nawet folia,
Eksponująca mordę psa z gipsu.
Mogę ją tylko nakarmić swoją uwagą.

Bogusław Michalec**Tak, pieśni**

Tak, moja pieśni, niewielkie znaczenie
przydajesz ręką, które cię spisały.
Wszystko poukładane i już poza nimi.

Nie dlatego powstałaś, żebym mógł zobaczyć,
lecz z rozlicznych wstydlów,
że nie mogłem widzieć.

Jesteś więc kurtyną w mym nieszczerym polu.

Być może z czasem staniesz się pamięcią,
trudno o tym mówić, gdy wciąż się zielenią
łąki wzdłuż autostrad, za oliwnym gajem
wstaje słońce – wciąż nowe i łaknące więcej.
Trwa podróż, ucieczka – jaką chcesz daj nazwę,
nadaj imię morzu, piaskom, ścianom ruin.

Bo zbierałaś z gościńca, co dało się znaleźć:
pył ruinny i błoto, i okruchy słońca.
Za tobą ślad stóp dążył i szelesty kroków,
dni karmiły się tobą, choć trwały w milczeniu.

Tak, to wszystko prawda. Jednak musi zostać
nazwane – wypowiedzieć to dar i konieczność.
Tak, moja pieśni, wciąż mówię do ciebie
mową rąk uporczywie zwróconych ku górze.

Lidia Izabela Lachowska**Powrót**

rano port wisi
na linach jak wczoraj

tylko moje dłonie
są cięższe

od soli?
od drogi?
od tego czego nie powiedziałam nikomu?

kiedy stawiam stopę na pomoście
deska uginając się
wydaje krótki dźwięk

to pierwsza nuta domu

Grzegorz Zientecki**Powrót z długiego rejsu**

Na linii wody
Zapis z soli i pakli
Jak wers białego wiersza

Śmierć jest siwą staruszką
Tylko niewielu jest w stanie
Dostrzec w niej pieszczotę Kirke

Warto przeczytać

Chociaż od pewnego czasu mamy wysyp książek (najwięcej tomików poezji,) trudno je znaleźć w księgarniach. Więc jak dotrzeć do tych, które są warte zauważenia?

Nazwisko **Piotra Muldniera - Nieckowskiego** – doktora medycyny i nauk humanistycznych, poety, prozaika, językoznawcy jest znane, ale przeciętnemu czytelnikowi trudno znaleźć jego najnowszą pozycję.

Zbiór wierszy *Przy Tobie* (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa 2026) zawiera utwory intrygujące swoją pozorną prostotą, nieomal werystyczną formą, okalającą jak rama obrazu głęboką treść.

Znajdziemy w nich m. innymi wątki eschatologiczno-metafizyczne, ale z odcieniem jakby lekkiego sarkazmu, co jeszcze podkreśla ich oryginalność.

„Pyta dziewczynka, czy w komputerze jest bóg czy diabeł.

(...)

Czego naprawdę się lęka?

Skąd wie, że ty tam siedzisz,

i zagrażasz nie tylko jej?”

W środku komputera

Życie jednostki ukazane jest na tle wydarzeń (m. innymi katastrofa smoleńska) od których nie można się uwolnić, ale można otoczyć się pancerzem ochronnym, którym jest wiara.

(...)

„kto myśli, że nie wierzy,

a nie ma pojęcia,

jak bardzo niewiara potrafi

zbliżyć do Boga.”

Wiara w wiare, jednym zdaniem

Ale również chroni bliskość drugiej, drogiej osoby:

„Jest już naprawdę późno.

Brak snu odbiera oddech i kwiaty

pachną jakby nam na przekór.

Tylko że wciąż mogę dotykać twojego

biodra

i nic nie stoi na przeszkodzie.”

Późno

Pozornie prosty szyk słów uderza trafnością myśli często o zabarwieniu ontologiczno-profetycznym, ale i politycznym.

(...)

„Co zrobicie niszczyciele ludzi

gdy zostaniecie jedyni

na świecie takim jak nasz obfity?”

Zasada braku zasad

(pamięci ofiar smoleńskich 2010)

Podobny wątek zawiera zamykający tomik wiersz *Wycięcie drzewa*

Spersonifikowany las broni się. Jak naród? Zagrożony człowiek? Karze. Drzewo przynięta sprawcę i...

„Nikt o nim nie będzie pamiętał.

Takich traktują jak głupców.

Jego imię ugrzęzło na dnie archiwum archiwów.”

Lektura wierszy choćby tak prostych jak wiersz *Nie żyje*

„Nie żyje Urszula Koziół, 1931 - 2025.

Tak się mówi

Ale nie da się tak myśleć.”

nie należy do łatwych. Wymaga intelektualnego wysiłku:

(...) więc cierpisz

i musisz się natęczać.

Niech więc wiersz ożyje i cię udźwignie.”

Jeśli wiersz nie jest taki jasny

Tomik *Przy tobie* bogaty w różnorodne wątki i tematy, jest przykładem na to jak barwne i rozmaite jest słowo poetyckie.

„*Pieśni Petrarki – listy Laury niepisane*” (Instytut Wydawniczy Świadek 2025)

jest oryginalną książką poetycką, dwugłosem polskiego poety i poetki ukraińskiej: **Stefana Pastuszewskiego** (również cenionego pisarza) i **Natalii Horisny**.

Tomik zawiera 22 sonety Stefana Pastuszewskiego w tłumaczeniu Natalii Horisny i 22 sonety poetki ukraińskiej w tłumaczeniu polskiego poety.

Ten dwugłos to nie tylko oryginalny zabieg konstrukcyjny książki, ale niemalże pokaz wirtuozerii semantyczno-lingwistycznej jakim jest nawiązanie do treści i specyficznej budowy sonetu, którego twórcą jest Petrarka, poeta z XVI wieku.

Wiersze **Stefana Pastuszewskiego** ukazują historię miłości – od zauroczenia kobietą (tak jak u Petrarki w kościele) poprzez subtelne zaloty aż po szaleńcza, spełnioną miłość (u Petrarki niespełnioną).

(...) „Nie bój się lęków ani swoich zmysłów.

Są takie chwile, gdy jest, co się przyśni.

One są teraz i już się nie zdarzą.”

Seni e cosce di neve, il Segreto della vita...

Aby wspomnienie miłości trwało, trzeba odejść.

(...) Musiałem jechać, by nie przelać pełni.

Bo chwila nasza chciała sięgać dalej...

Musiałem odejść, by złota nie szernić... (...)

Tu sei lo non ci sono già da un mese

A w sonecie „32 sierpnia” Laura – wiersz Natalii Horisny w tłum. Stefana Pastuszewskiego – odpowiada:

(...) „Pociesz mnie, rozwij moje nocne lęki,

Że zamajaczył tylko cień na ścianie

Lecz czemu smutne są moje piosenki

Nie na dzień dobry a na pożegnanie” (...)

Lektura sonetów autorstwa Stefana Pastuszewskiego i Natalii Horisny jest jak ożywcza kąpiel. Katharsis. Oderwanie się od mrocznej, niepewnej rzeczywistości współczesnych czasów. Wejście w piękno bogatego w tropy poetyckie języka i melodii wiersza a także zanurzenie się w delikatnym, wzniosłym uczuciu, miłości, której doświadczać mogą tylko nieliczni, szczególnie obecnie.

Stefan Pastuszewski pisze:

(...) „Nie jest szaleństwem to, co między nami,

Choć nie podlega żadnym ziemskim prawom:

Dotknięcie twych warg to nocny aksamit,

A uśmiech, słowo – są słoneczną ławą” (...).

l'amore mi persegue sempre e il bene conduce...

Tomik wierszy **Jerzego Binkowskiego** „77” (wyd. BUK 2026, Białystok) częściowo z tłumaczeniem na język angielski (tłum Beata i Patric Lahey), zaskakuje oryginalnością.

Tematyka utworów podporządkowana została tytułowi książki, którego symbolika nawiązuje do Starego i Nowego Testamentu. Mistyczna liczba 77 to imię Boga w genealogii Św. Łukasza. Anielska liczba 77 to potężny znak duchowego przebudzenia, wewnętrznej mądrości, intuicji i nieskończoności, a w kontekście miłości oznacza czas zrozumienia i harmonii.

(...) Usiadły obok siebie

miłość i cisza

Nie na przeciwn

Nie przeciwn

I tam gdzie nic się nie działo zostało coś ważnego

Miłość rozmawia z ciszą

Ale liczba 77 oznacza odporność. Moc ta pomaga w pokonywaniu wyzwań, przewyższaniu własnej słabości, słabości ciała.

„Rozsiane w Tobie stwardnienie

wrosło w Ciebie korzeniami

jak dąb (...)

Stwardnienie

Dzięki energii liczby 77 do niedomagania ciała można podejść z dystansem a nawet żartobliwie:

(...)

Noga powiedziała Noga

Łasły się do dłoni oczekując głaskania

Potrafiły iść przy nodze

czujnie wspierając każdy krok

(...)

A kijki wierne jak pies

broniły go przed upadkiem

Wierność

I zgodnie z tytułem książki każdy utwór zawiera eschatologiczno-metafizyczną głębię. Mówi o relacji z Bogiem miłosiernym, pełnym miłości, co nie wyklucza bólu i śmierci człowieka:

(...) Lękam się umierania w ludziach

gubię się w czasie złorzeczę cierpieniu

dlatego nie uczyniłem cię wieczną

tylko prawdziwą powiedział Bóg (...)

Kolejna rozmowa miłości z Bogiem

Końcowy wiersz *Autorskie dopowiedzenie* jest jak gdyby rekapitulacją książki i wyjaśnieniem intencji poety.

„77 jest zapisem drżenia

człowieka wobec nieskończoności

(...)

„Słowo stało się ciałem” – więc

ludzkie drżenie nie jest błędem konstrukcyjnym świata

Paweł Kuszczynski również, tak jak powyżej omawiani poeci, odwołuje się w wierszach zawartych w książce *Mądrość Dobra* (wyd. Bonami, Poznań 2022) do pojęć i motywów ponadczasowych, uniwersalnych. Człowiek ma wrodzoną potrzebę transcendencji, ładu i harmonii i powinien, aby godnie i bezpiecznie żyć, opierać się na tych wartościach.

(...) „Godzić życie z podarowanym czasem człowieka zadaniem.”

Kłopoty z czasem

Ale „Duch miota się między

czernią sadzy i bielą śniegu.
(...)
Najczęściej mieszka w szarości”
(...)

Widzenia

Ta niezwykle trafna konstatacja przywołująca *Kanon* St. Grochowiaka może sugeruje niebezpieczeństwo wszelkiej ekstremy nawet w obszarze duchowości?

Może wypośrodkowanie – szarość – jest dla przetrwania bezpieczniejsze?

To nienawiść, odejście od Boga zabija. Tak w życiu pojedynczego człowieka jak i w historii.

(...)
„Znaleźli się na wschodzie i północy
gdzie Bóg skasowany
przez rewolucję
(...)
ale płomień wskrzesza umarłych”

Tryptyk katyński

Co przyniesie jutro? –zastanawia się poeta:
„Co przyniesie to nowe pokolenie?”
(...)

W otwartej Księdze
znajdziesz odpowiedź,
(...)
Czas podpowie,
dobro uspokoi
wybraną stronę.
Nastanie dzień
a z nim światło.”

Żywe myśli

Wydzwięk zbioru jest więc optymistyczny.
Dobro zwycięży.

A może to, co nas otacza, jest hologramem? Światem nierzeczywistym?

Bo rzeczywistość poraża swoją absurdalnością. Jednak nie. To nie hologram życie poszczególnego człowieka. To nie hologramy życie ludzi w czasie wojen, epidemii.

Takie dylematy egzystencjalno-filozoficzne zawierają wiersze w tomiku **Zbigniewa Milewskiego** *Nie Samotne Hologramy* (Fundacja literacka „Jak podanie ręki”, seria wydawnicza #90, Poznań 2025).

Jak chronić swoją psychikę przed absurdem współczesnej rzeczywistości?

I zaskakująca konkluzja:
(...)

„Świat ratuje przed rozpaczą chichot głupców”
(...)

Artefakty

A wiara chroni? A jeśli jest się tylko poszukującym?

„Wiem o Tobie od tych, którzy Ciebie nie znają,
przedstawiają niewłaściwie z wyobrażeń,
więc szamoczę się i nie wiem – kochać Ciebie czy też zwalczać?” (...)
Odpowiedź na list pisany Ewangelią

Absurd i groza wojny mocno zaakcentowane są w poruszającym wierszu z motywem biblijnym
(...)

Wszędzie głoszą wojnę
Ona chce pokoju.

Dzisiaj Matka Boska

placze bez objawień,
choć w Ewangeliach
nie ma żadnej wzmianki
o łzach ze zmartwienia,
nawet na Golgocie
(...)

Tylko ona płacze
nad ziemskimi dziećmi.”

Matka Płacząca za Wszystkich

W wielu wierszach przewija się motyw egzystencjalny. Jaki jest sens życia? Co po nas zostanie?

(...)
„Czy żyjemy by zostały puste miejsca?
Po co pisać, gdy w historii białe plamy,
zaludniają po nas braki pustostany

Obcy inni, których nigdy nie poznamy.
(...)

Za kurtyną –QueenClub

Ale zakończenie wiersza *Artefakty* jest optymistyczne. Warto pisać.

(...)

„Dziś poezja jest natury częścią w locie
i przedmiotem uskrzydłonym doświadczeniem.”

Wyróżnikiem utworów Zbigniewa Milewskiego jest ich tonalność, muzyka, rytm – co zawsze do pewnego czasu było cechą poezji.

W tomikach omawianych twórców jak i u wielu innych, różne widzenie świata i różne głosy wtapiają się w jeden chór, jakim jest poezja. ♦

Bronisław Pastuszewski

„Było bardzo ciężko”

Natalija Neszczeret (Наталія Нещерет) urodzona w 1959 r. w miejscowości Wjazowe w obwodzie charkowskim 25 km na wschód od Charkowa. Dziadkowie od strony matki Maryna i Jakub także stamtąd pochodzili. Zaś od strony ojca Iwan i Oksana wywodzili się z Michajliwki położonej ok. 10 km na pld.-wsch. od Charkowa. Ojciec Wasilij pracował jako traktorzysta w kołchozie w Wazowie, a matka Katerina była tam dojarką. Natalija ukończyła szkołę średnią w tej miejscowości, a następnie liceum w Charkowie. Potem pracowała jako malarz pokojowy oraz sztukator a następnie w fabryce samochodowych łóżysk tocznych. Wyszła za mąż za Wołodymira. Rodzina przeniosła się do Izjuma. Jest to ok. 30.to tysięczne miasto leżące 85 km. na pld. – wschód od Charkowa nad Siwierskim Doncem. Istnieje tu przemysł spożywczy i meblarski. Zabytkiem jest sobór Przemienienia Pańskiego z XVIII w. Stoi tam pomnik ofiar Wielkiego Głodu lat 30.tych wywołanego sztucznie przez władzę sowiecką. Natalija poza pracą zawodową interesowała się florystyką. Swe zamiłowania kontynuuje do dzisiaj uczęszczając w Bydgoszczy na kursy doskonalące. Ma ona trzy córki: Wiktoriję, Wierę i Katerinę, które pracują w różnych zawodach. Ma także sześcioro wnucząt. Po agresji rosyjskiej 24 lutego 2022r. rodzina uciekła do Kupiańska nad rzeką Oskil, zatrzymując się w ośrodku dla uchodźców wewnętrznych. Niedługo oba miasta znalazły się na linii frontu pod ostrzałem artylerii i rakiet najeźdźców. Sytuacja mieszkańców stała się wkrótce tragiczna, gdyż Izjum został w 80% zniszczony. Rodzina wycofała się w piwnicy praktycznie bez prądu i wody, wciąż narażona na uderzenia dronów i rakiet. „Było bardzo ciężko. Trudno to wytrzymać. Dlatego ja, dwie córki, syn i synowa postanowiliśmy uciekać na zachód.” Przedostali się oni w lipcu samochodem do Sarn w obwodzie rówieńskim, gdzie mieszkała córka Wiktorija. A ponieważ druga córka Katerina miała koleżankę w Polsce, postanowili tam się udać. Autobusem ewakuowali się do ośrodka dla uchodźców do Ptaka pod Warszawą. Po miesiącu pobytu

pojechali oni pociągiem do Ciechocinka, gdzie pracowała koleżanka córki. Zamieszkali tu w hostelu dla uchodźców. Natalija dostała tu pracę w szklarni, wykorzystując swe umiejętności. Zatrudniała się także w charakterze sprzątaczk. Córka natomiast pracowała w szpitalu kolejowym. Wnucowie uczęszczali do tamtejszej szkoły. Po półtora roku cała rodzina przeprowadziła się do Bydgoszczy. Także tu zostali ulokowani w hostelu a później wynajęli mieszkanie. A obecnie Natalija uczęszcza na kursy florystyki oraz pilnie uczy się polskiego języka. Najstarszy wnuk studiuje w Wyższej Szkole



Gospodarki w Bydgoszczy. Na pytanie o stosunek Polaków do ukraińskich uchodźców Natalija odpowiada: „– W Ciechocinku ludzie byli nam bardzo pomocni i przyjaźni. Mimo, że nie znaliśmy języka pomogli nam znaleźć pracę.” Zapytana o dalsze plany życiowe Natalija uważa, że „w obecnej sytuacji, gdy życie w moich stronach rodzinnych jest bardzo, bardzo trudne wolałabym pozostać tu, w Polsce, w Bydgoszczy.” ♦

**Uchodźcy,
losy, decyzyje**

PROTOKÓŁ JURY XX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o „Cisową gałązkę”im. L. Wyczółkowskiego

I. Organizator konkursu: **Gminna Biblioteka Publiczna w Cekcynie.**

II. W konkursie udział wzięło 54 uczestników z całej Polski.
Uczestnicy nadesłali zestawy zawierające od 1 do 3 wierszy.

III. Komisja w składzie: 1). **Stefan Pastuszewski - przewodniczący**
2). **Zyta Ważna**
3). **Grażyna Wojcieszko**
4). **Kazimierz Żarski**

przyznała:

- nagroda główna „Cisowa gałązka” 2026
- Emilia Komperda**, Częstochowa, lat 17, godło TQ
- wyróżnienia

- 1. **Lena Jenaszek** (Wrocław), godło Ikar, 17 lat
- 2. **Magdalena Świercz** (Wrocław), godło Cokolwiek, 16 lat

Ponadto nagrodę specjalną – **druk w AKANCIE** otrzymują:
3. **Nina Ciecuch** (Święta Katarzyna), godło Sasza, 17 lat
4. **Malwina Krawczyk** (Szczawno-Zdrój), godło Simona, 17 lat
5. **Natalia Kubal** (Koronowo), godło Nali, 18 lat
6. **Kacper Ziemiński** (Rogalinek), godło Drzewko Pom. 20 lat

Uzasadnienie Jury:

Jury zwróciło uwagę na wysoki poziom formalny utworów oraz na zwrot ku tematyce związanej z naturą w bardzo oryginalnym ujęciu z innowacyjnymi metaforami.
Tradycyjnym dla młodych poetów tematom egzystencjalnym towarzyszy pozytywna afirmacja świata.

Natalia Kubal - Wyróżnienie

Pod powierzchnią ciszy

las nie jest spokojny
on tylko dobrze udaje

pod koroną drzew
toczą się ciche wojny
o światło
o miejsce
o przetrwanie

chodzisz po ściółce
i nie wiesz
że pod stopami
leżą rzeczy, które kiedyś miały imiona

cis rośnie powoli
jakby nie ufał czasowi
jakby wiedział
że wszystko co szybkie
łatwo umiera

dotykam jego gałęzi
i czuję coś twardszego niż drewno
coś
co nie chce się złamać

człowiek mówi o sile
ale pierwszy ucieka
kiedy robi się naprawdę cicho

las zostaje
patrzy
i nie pyta
czy jesteś gotowy
bo nigdy nie jesteś

Lena Jenaszek - Wyróżnienie

Nie odwracaj się, Orfeuszu

Nie o muzykę tu chodzi,
lecz o ciszę,
która zostaje po niej.

O to jedno drżenie w powietrzu,
gdy jeszcze nie wiesz,
czy pieśń się skończyła,
czy dopiero zaczyna ginać.

Świat zawsze był tłumem.
Zawsze pełen głosów,
które chcą zagłuszyć siebie nawzajem.
Ty tylko próbowałeś nadać im rytm.

Zszedłeś w dół,
bo wierzyłeś, że dźwiękiem
można wyprosić z nicości to, co kochane.
Że jeśli zagrasz do końca,
śmierć ustąpi jak kurz pod oddechem.

Ale nikt ci nie powiedział,
że najtrudniej jest milczeć,
kiedy wiesz, że za tobą
idzie ktoś, kto ufa twojemu głosowi.

Nie oglądaj się.
Bo w tym jednym spojrzeniu
czai się wszystko,
czego nie potrafimy zostawić
i wszystko, czego już nie da się odzyskać.

Niech idzie za tobą cień,
a nie wspomnienie.
Niech muzyka prowadzi,
nie żal.

Nie ma drogi wstecz
dla tych, którzy zatrzymują się w pół kroku,
bo próbują jeszcze raz chwycić to, co uciekło.

Idź więc dalej,
nawet jeśli droga jest pusta,
nawet jeśli zostałeś sam.

Nie odwracaj się, Orfeuszu,
bo znikniesz w tłumie.

Emilia Komperda - „Cisowa gałązka” 2026

Brda krwistą sandr rzeką - ich wiecznym pożarem
 Gdy płynie zażarcie, podrzędna nikomu
 Niesie się w czerwieni, i w brak i z niemiarem
 Aż znajdzie w gęstwinie coś gdzieś na wzór domu

Lecz nie ma to rzeka, nie my Wdy potomni
 Nie dla nas mokradła lub porostów sznury
 Świat ku ziemi płynie, bez praw i sortowni
 A nam ludziom każą iść ciągle do góry

Wspinać się – wbrew wodzie więc i wbrew naturze
 Wspinać się – najdalej gdzie wrzawa i gwar
 Wygonić nas z lasu, zatrudnić gdzieś w biurze
 By znaleźć fortunę wśród zasad i miar

Kryształ ten nie dla nas łask służyć posługą
 Nie nam gwiazd gładzina ma nucić piosenki
 Nie my żyć będziemy pod ziemi ostrugą
 Nie nasze bieg wody ma leczyć udręki

Nie my żyć będziemy we flor długiej waśni,
 Nie naszą jest fauny wieczna awantura!
 My kłóćmy się sami, my waście i jaśni!
 Co do naszych sporów ma przecież natura?

Co do naszych sporów ma wód serca bicie?
 Łomoty znajome w mieście pełnym zmian
 Tak głośnie że słysząc je w miejsc rozmaicie,
 Tak głośnie że uszy aż krwawią od ran.

I Brda puszcza chmury – ciężkie, ołowiane
 W ruinach pożaru, ostał się sam dym
 On też zaraz zniknie i nic nie zostanie
 Koniec wód potęgi – dziś upadł mój Rzym

Co do naszych sporów ma przecież natura?
 Lecz ona znika już w cień w wrotach boru
 Schowana przed gmachem, skalnych wód figura
 Gdzieś w leśnej gęstwinie, gdzieś w czymś na wzór domu.

By tworzyć, by pisać, w wstydu bladym świetle.
 Lecz wewnątrz, wciąż w płucach mam lęku ciemności.
 Wciąż ciąży mi w palcach atrament i węgle,
 Nie chcę tego życia, nie chcę świadomości.

Chcę wieść życie sosny – doznać utrwalenia,
 Odształceń w lodowych kamieniach przeszłości.
 Chcę jak snu równina pilnować sklepienia,
 Chcę ogon spokoju znaleźć gdzieś w płodności.

Chcę wieść życie sosny, mieć sosen rodzinę
 Być tam gdzie nas wszelki są, wszystkie te same
 Chcę sens świata schować w kłaczach sytą bramę
 Chcę zapisać w bezwiedność, marazmy tożsame
 Chcę ziać w cieniu lasu, lecz las mnie nie kocha
 Las miota podpisy w zieleni trawiastej
 Las rzuca wciąż echo, a we mnie jest zwłoka
 Przez którą nie znajdę już równiny własnej

Ta ludzka mentalność, mowa skrępowana
 Co nijak się ma do prostych borowości
 Gdzie sekrety rosną, gdzie mgła farbowana
 Jak miałyby ona nas uchować w gości?

Ludzie pragną się pchać i rozdzielać.
 W przestrzeni forsować myśli okupienia
 Bo taki z nas już jest dziecinny gatunek,
 Bo takie z nas właśnie są dziwne stworzenia

Kacper Ziemiński - Wyróżnienie**Duch**

Nie płaczcie o stare świerki
 Kora powraca z podziemi
 Nadchodzi odrodzenie
 Serce przyrody bić będzie
 Krew ciepłą korzeniami pompować
 Ożyją martwe, powstanie życie
 Na nowo odwieczną prawdą
 Musimy zdefiniować
 Ze snu wybudzą się zwierzęta
 Owoce rodzić będą krzewy
 Słońce wreszcie ogrzeje
 Wasze dusze
 Skryte za warstwą żywicy
 Niech żyje wiosna
 Śmierć staremu
 Lodowatemu uczuciu

Magdalena Świercz - Wyróżnienie

Przed zejściem liczę stopnie
 Dokładnie, by się nie poślizgnąć
 Nie upaść na głowę
 Bo będzie szkoda, nie strata
 Dobranoc
 Schodzę dalej
 Chyba, że miałam nie schodzić
 Wtedy w tył zwrot
 Biegnę w stronę horyzontu
 Gdzie kończy się morze pełne opowieści
 Niczego sobie
 Przesolenie i kryształy soli wypadają z niego
 Prosto w czyjeś rany, a potem
 Pod powieki do cudzych łez
 Uważnie schodzę po schodach
 Bo nie chcę się poślizgnąć
 Jak ty na szynach pod tramwajem

Nina Cieciuch - Wyróżnienie**Obawy u fryzjera**

Zawsze bałam się, że fryzjerka
 Odetnie mi brzytwą ucho,
 Nadgryzie je i uśmiechnie się do lustra,
 Witaj kochana klientko.
 Uśmiechnie się do lustra
 I pomacha uchem, nadstawi ucho,
 Ale syren policyjnych nigdzie nie słysząc,
 Moje ucho ukradziono, halo!
 Nadgryzie je, zawsze się bałam
 Chodzić do fryzjera, bo ona odetnie
 Mi brzytwą ucho, co tam, kochana
 Klientko?
 Odetnie Ci brzytwą ucho? Coś Ty,
 Ale ja to, mamusi, widziałam w telewizji!
 Bzdury, chodź, czas na wyrównanie
 Grzyweczki do twoich brunatnych brwi.
 Witajcie kochane klientki!

Wojciech Kajtoch**Jest taki wiersz...**

Siergiej Kaługin

Ja, ostatni żołnierz martwej Ziemi*(przekład poświęcam Andriejowi Bazilewskiemu –
Wojciech Kajtoch)*

Serce me bije, więc nie umarłem
Powieki spalone - więc wciąż widzę świt
Otwieram oczy - a nade mną stoi
Bezimienny koszmar - Nikt.

Byli lawiną i czarnym potokiem
Wdeptali nas w błoto, roznietli nas
Wokół ruiny, wszyscyśmy zabici
Nasze sztandary białe są w piach

Mógłbym przepelznąć przez pole spalone
Dotrzeć do rzeki, spuścić łódkę w tonię
Przeżyć tę wojnę, być jedynym takim
Lecz pluje im w twarz i chwytam za broń

Cień tylko widzę, popiół i granit
Brak czegoś, czego bronić bym chciał
Ale podnoszę tarczę zrabowaną
Obnażam miecza bezsensowną stal

Wiem, co ze mną dzisiaj nie umrze
Choć nie ma sposobu, by zwyciężyć ich
Nie mają prawa, by widzieć wschód słońca
Nie mają prawa żyć...

Więc trąbię w swój róg rozłupany
Podnoszę z okopów poległą brać
I krzyczę „Naprzód!” „Za mną!” „Do
ataku!”
Że nie ma już żywych - „Umarli! Wstać!”

Tłumaczył Wojciech Kajtoch

Od razu uspokajam wszystkich zwolenników politycznej poprawności. Wiersz, a konkretnie muzyczny utwór, którego słowa stanowił, ukazał się pierwszy raz na singlu pod tymże tytułem w 2003 roku, kiedy wojny z Ukrainą nic nie zapowiadało, wciąż trwały walki w Czeczenii, a Rosjanie mieli zapewne w pamięci bitwę pod Ułus-Kertem w dniach 29 lutego - 1 marca 2000 roku, w której rosyjska kompania 106 pułku komandosów z Pskowa starła się z ok. 2000 Czeczenów i Arabów dowodzonych przez Szalima Basajewa i Chatta-ba. Cały rosyjski oddział poległ, ale zniweczył jakąś część planów, mających na celu stworzenie kaukaskiego kalifatu. Pamięć o tym starciu tworzyć mogła najbliższy kontekst odbioru tej pieśni, której muzyczną, niezwykle przejmującą stylistykę określano zwykle jako progressive lub power metal.

Czy geneza rzeczywiście wiąże się z tą bitwą - trudno z całą pewnością powiedzieć, ale na pewno istniał też kontekst szerszy - wstrząs psychiczny, który ogarnął społeczeństwo

rosyjskie po upadku ZSRR w grudniu 1991, a potem sukcesywnie się pogłębiał w okresie szczególnie bandyckiej i nihilistycznej transformacji lat dziewięćdziesiątych, wobec której transformacja polska była sielanką, a która była dla Siergieja Kaługina, urodzonego w Moskwie w 1967 roku atmosferą, w której wchodził w dorosłość.

Cieężko przeżył te lata także adresat mojego przekładu - Andriej Bazilewskij, który, jako mój rów nolegalek już trochę bardziej od Kaługina ustabilizowany był życiowo, ale bez przesady - pamiętam jego opowieści o tym, jak za sprawą łapówek płaconych przez kogoś milicji o mało nie stracił wyczekiwanego przez lata mieszkania i jak, jako kandydat nauk, pracujący w Rosyjskiej Akademii Nauk, nie za bardzo miał z czego żyć (doskonale go rozumiałem jako polski nauczyciel tychże lat).

Kaługin znalazł sposób na życie, stając się śpiewającym poetą, którego można porównać z Marcinem Świetlickim (rocznik 1961). Jego zespół nazywał się „Orgija Prawiedników” (powst. 1999), co można przetłumaczyć jako „Orgia świątobliwych”, „Orgia proroków”, i propagował bunt konserwatywny, monarchistyczny, prawosławny - czyli kontestację opartą na powrocie do tradycyjnych wartości („Świetliki” Świetlickiego - jak wiemy - powstały w 1991 i propagowały raczej punkowy nihilizm, więc porównanie Świetlicki - Kaługin poza zasadniczą zasadą kontestacji wykaże raczej katalog różnic).

Natomiast nieżyjący już Andriej Bazilewskij (zm. 2019) swój sposób na życie znalazł w pracy tłumacza, poety i wydawcy. Nie wchodząc w szczegóły, to on przyswoił czytelnikowi rosyjskiemu m.in. Andrzeja Bursę, Annę Świrszczyńską, Bolesława Leśmiana, Czesława Miłosza, Cypriana Kamila Norwida, Edwarda Stachurę, Jana Twardowskiego, Karola Wojtyłę, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Mirona Białoszewskiego, Stanisława Misakowskiego, Stanisława Grochowiaka, Tadeusza Karpowicza, Tadeusza Nowaka, Wisławę Szymborską, Zbigniewa Herberta... Nie byli zbyt znani w ZSRR, a potem nie interesowali dużych wydawnictw - Andriej wydawał ich w swoim małym „Wahazarze”. Przy tym był w tych sprawach niezwykle uparty. Pamiętam jak w latach osiemdziesiątych usiłował doprowadzić do spotkania, które miało prezentować „polską socjalistyczną poezję”, a na którym chciał „przemycić” Herberta... Podsumowaniem tej części jego dzieła była licząca ok. osiemset stron w formacie in folio antologia jego przekładów polskiej poezji wydana w 2008 roku pt. „Sdielano w Polsce - wiek XX”. Napomknąć jednak należy, że był przede wszystkim rosyjskim tłumaczem i monografistą Witkacego (przetłumaczył „Szewców”, „Gyubala Wahazara” i pięć innych dramatów, współtłumaczył „Nienasycenie” i „Pożegnanie jesieni”, wydał w 2000 roku książkę: „Twórczość Stanisława Ignacjusz Witkiewicza i polska literatura groteska”. Rosjanie praktycznie nic wówczas nie wiedzieli o Witkacym.

Zaznaczę także, że Bazilewskij mniej więcej tyle samo zrobił też dla poezji serbskiej. Politycznie był panslawistą wierzącym w duchową jedność Słowian i chadzał w serbskim berecie wojskowym, który mu sprezentowano po spotkaniu, z którego ponoć „wyprosił” ambasadora USA, wspomniawszy w swoich wierszach o bombardowaniach, które urządziło Serbii NATO.

Dlatego jednak przekład Kaługina za-

**„TĘCZOWY ZAKĄTEK”**

**NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROVA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY**

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ**☎ 604239030 ☎ 571338880****sim.bydgoszcz.pl**

dedykowałem Bazylewskiemu? Przede wszystkim dlatego, że Bazylewski prosił mnie o ten przekład. Najprawdopodobniej w okolicach 2015 roku (daty tej nie jestem pewny) przesłał mi teksty z propozycją, bym jako poeta, potrafiący pisać wierszem rytmicznym i rymowanym przetłumaczył parę wierszy Kaługina tak, aby zachować walory rytmiczne. Nie spełniłem jego oczekiwań, o czym mi z wrodzoną sobie bezpośredniością napisał, a potem jakoś znikł. Dopiero niedawno dowiedziałem się o jego śmierci, spojrzałem na moje przekłady, przyznałem Mu rację i jeden poprawiłem. Prezentuję go powyżej.

O czym jest ten wiersz?

Posługuje się imaginariem rycerskim. Przy tym raczej europejskim. Np. „róg rozłupany” jest z rodem z „Pieśni o Rolandzie”, proporców raczej staroruscy wojownicy nie używali (вымпелы вбиты в песок). Być może również imaginariem Tolkienowskim (całą trylogię Tolkiena opublikowano po rosyjsku na przełomie ostatnich dekad XX wieku – najpierw częściami w latach 1982-1992, potem w jednym tomie w 1993 roku). Klęska, o której mowa dotyczy przegranej z „beziemiennym złem”, nie z konkretnym przeciwnikiem lecz abstraktem – siłami zła, z którymi przegrał (na szczęście nie ostatecznie), rycerz, jak widać reprezentujący siły dobra i ufny w ostateczne zwycięstwo. On wie, „co z nim dzisiaj nie umrze”.

A co to jest? Na pewno nic, co jest materialne. Rycerz walczy w imię Wartości, nie konkretnej Ziemi ruskiej, czy konkretnego księcia. Znów bardziej przypomina to europejski etos rycerski, gdzie rycerz miał przede wszystkim zachować Wiarę, Wierność feudalnej przysiędze i obowiązkom, oraz Honor. Wszak jeśli o obronę konkretnych chodzą, to podmiot wiersza jasno mówi, że „Cień tylko widzę, popiół i granit / Brak czegoś, czego bronić bym chciał”.

W sytuacji, w której broni się zasad, martwych już w realnym świecie (co jak co, ale ZSRR pozostawiło po sobie kompletną ideową pustynię, niszcząc stare wartości i nie proponując w zamian niczego istotnego). Sojusznikiem mogą być tylko umarli. Ci istniejący tylko w naszej myśli i tworzący wzniosłą tradycję.

Tym sposobem obraz walki, klęski i na nią niezgody traci konkretne rysy - czy to średniowieczne, czy to tolkienowskie, a staje się

alegorią walki wewnętrznej, która odbyć się musi w duszy, bo stawką jest własne, moralne ocalenie. Mam wrażenie, że Kaługin mówi to do wszystkich Rosjan, którzy wraz z upadkiem ZSRR poculi się – mówiąc krótko – pokonani przez wroga im rzeczywistość. Jest jakby prokiem proponującym wewnętrzną odnowę, opartą na tym, co w światowej tradycji wzniosłe i szlachetne.

No cóż, adresaci wezwania wybrali na razie tradycje nie tyle rycerskie co imperialne (żeby nie powiedzieć – mongolskie), z historii o wiele lepiej im znane. Zobaczmy jednak, co będzie dalej.

A na koniec, dla tych, co nie boją się cyrylicy, proponuję wiersz w oryginale:

Сергей Калугин
последний воин мёртвой земли

Удары сердца твердят мне, что я не убит
Сквозь обожженные веки я вижу рассвет
Я открываю глаза – надо мною стоит
Великий Ужас, которому имени нет

Они пришли как лавина, как чёрный поток
Они нас просто смели и втоптали нас в грязь

Все наши стяги и вымпелы вбиты в песок
Они разрушили всё, они убили всех нас...

И можно тихо сползти по горелой стерне
И у реки, срезав лодку, пытаться бежать
И быть единственным выжившим в этой войне

Но я плюю им в лицо, я говорю себе:
«Встать!»

Я вижу тень, вижу пепел и мёртвый гранит
Я вижу то, что здесь нечего больше беречь
Но я опять поднимаю изрубленный щит
И вырываю из ножен бессмысленный меч.

Я знаю то, что со мной в этот день не умрёт
Нет ни единой возможности их победить
Но им нет права на то, чтобы видеть восход
У них вообще нет права на то, чтобы жить

И я трублю в свой расколотый рог боевой
Я поднимаю в атаку погибшую рать
И я кричу им – «Вперед!», я кричу им – «За мной!»

Раз не осталось живых, значит мертвые –
Встать! ♦

Stanisław Dłuski

Dialog i nadzieja

Łukasz Grabarz jest oryginalnym pisarzem i krytykiem, szuka w literaturze głębokich sensów, wrażliwy na ludzką krzywdę i cierpienie. Nie interesuje go powierzchwnia zdarzeń ani łatwe efekty stylistyczne. Jego spojrzenie biegnie głębiej — tam, gdzie język zaczyna się łamać, a doświadczenie człowieka przestaje być oczywiste i poddaje się tylko niepewnym próbom opisu. W tej niepewności Grabarz odnajduje jednak nie słabość, lecz szansę: możliwość zbliżenia się do prawdy, która nie daje się wypowiedzieć wprost.

Jako krytyk unika sądów ostatecznych. Nie buduje hierarchii na modłę szkolnych podręczników, lecz raczej prowadzi dialog z tekstem. W jego interpretacjach literatura nie jest martwym przedmiotem analizy, ale żywym organizmem — czymś, co oddycha razem z czytelnikiem. Grabarz zdaje się wierzyć, że każde dzieło niesie w sobie ukryty dramat, który można wydobyć tylko wtedy, gdy pozwoli mu się wybrzmieć bez uprzedzeń. Dlatego jego eseje często mają charakter medytacyjny: nie spieszą się, nie dążą do szybkiej pointy, lecz krążą wokół tematu, jakby badały go z różnych stron.

Wrażliwość na ludzką krzywdę nie jest u niego deklaracją, lecz postawą. W jego pisaniu cierpienie nie bywa estetyzowane ani wykorzystywane jako narzędzie retoryczne. Przeciwnie — jest czymś, co wymaga ostrożności, niemal pokory. Grabarz rozumie, że literatura może zarówno odsłaniać ból, jak i go maskować. Dlatego szczególnie ceni te teksty, które nie uciekają od trudnych pytań, lecz potrafią je unieść, nawet jeśli nie przynoszą ukojenia.

Jego własne pisarstwo — balansujące między esejem a krytyką — ujawnia jeszcze jeden istotny rys: nieufność wobec języka jako narzędzia władzy. Grabarz dostrzega, jak łatwo słowa mogą zostać użyte do upraszczania świata, do zamykania go w schematach i etykietach. Stąd jego styl bywa oszczędny, chwilami surowy, jakby każde zdanie musiało najpierw przejść próbę uczciwości. Nie chodzi o efekt literacki, lecz o wiarygodność — o to, by nie zdradzić doświadczenia, które próbuje się opisać.

W tym sensie Grabarz wpisuje się w tradycję myślenia o literaturze jako przestrzeni etycznej. Nie jest to jednak etyka nakazów i zakazów, lecz etyka uwagi. Czytanie staje się tu formą odpowiedzialności: za drugiego człowieka, za jego historię, za jego milczenie. Krytyk nie stoi ponad tekstem, lecz raczej obok niego — jako ktoś, kto próbuje zrozumieć, a nie osądzić.

Można powiedzieć, że twórczość Grabarza jest próbą ocalenia sensu w świecie, który coraz częściej sens rozprasza. Nie czyni tego poprzez wielkie deklaracje, lecz poprzez cierpliwą pracę myśli i języka. W jego pisaniu jest coś z cichego oporu wobec banalizacji doświadczenia. I być może właśnie dlatego jego głos — choć niekrzykliwy — pozostaje wyraźny: przypomina, że literatura wciąż może być miejscem spotkania z tym, co najtrudniejsze, a zarazem najbardziej ludzkie. ♦

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Pamięć o wielkim człowieku



Pyta mnie pan o osobę Juliana Godlewskiego. Myśmy nazywali go Julem. Była to absolutnie niezwykła postać. Człowiek o ogromnych możliwościach finansowych i o bezmiernym sercu. Filantrop, który pomógł setkom ludzi w dramatycznych sytuacjach i jednocześnie obdarzył Polskę dziełami sztuki o bezcennej wartości. W jednej osobie filantrop, zagorzały katolik i wielki polski patriota. Od razu, na samym wstępie naszej rozmowy, powiem panu, że ten człowiek zaważył w sposób decydujący na moim życiu. Był dla mnie jedną z dwóch najważniejszych osób, jakie przeszły przez moje życie. Bez niego byłbym może przez całe życie kelnrem lub mechanikiem samochodowym, a nie profesorem jednego z paryskich uniwersytetów i paryskim adwokatem. A dziś tułałbym się w jakimś przytułku dla bezdomnych starców. To, co w życiu zdobyłem, to jemu zawdzięczam. Całe moje życie duchowe, ale i moja kariera zawodowa były napiętnowane spotkaniem go na mojej drodze.

Usłyszałem o nim przez zupełny przypadek, na samych początkach mojej paryskiej emigracji, we wczesnych latach 60-tych. Zahaczyłem się wtedy w jakimś biurze architektonicznym jako podrzędny kreślarz i żeby się utrzymać na powierzchni, musiałem pracować dosłownie od rana do nocy. Toteż nie miałem ani czasu, ani pieniędzy, żeby kontynuować studia. W Polsce zrobiłem cztery lata prawa, ale po nieudanej miłości, przed magisterium, przerwałem naukę i żeby zapomnieć, uciekłem do Paryża. Znalazłem się tam bez pieniędzy, bez znajomości, bez dachu nad głową. Jak mówię, po jakimś czasie, nie mając żadnego wykształcenia w tym kierunku, udało mi się zahaczyć w jakimś biurze architektonicznym, gdzie byłem niby kreślarzem, ale tak naprawdę to chłopcem na posyłki.

Przez zupełny przypadek dowiedziałem się od pewnego studenta — nie będę wymieniał nazwiska, bo nie zachowałem o nim dobrego wspomnienia — że otrzymuje on od jakiegoś bogatego Polaka prywatne stypendium i dzięki niemu uczęszcza do bardzo prestiżowej uczelni paryskiej, Sciences Po. Powiedział mi tylko, że ów Polak nazywa się Godlewski i mieszka w Szwajcarii, w Lugano, w jakimś hotelu. No i że jest dyrektorem wielkiego koncernu niemieckiego Thyssenów. To były wówczas największe huty w Europie.

Tylko tyle. Więcej nie chciał mi zdradzić.

Tonący brzytwy się chwyta. Przyszła mi do głowy desperacka myśl, żeby dowiedzieć się dokładnie, kim jest ów zamożny Polak, i napisać do niego. Cóż szkodzi spróbować. Przecież, mając absolutną pewność, że tracą pieniądze, miliony ludzi mimo tego kupuje losy na loterii. Dość sprytnie wykonywałem sobie, że jeśli jest tak zamożny, to hotel, w którym mieszka, musi być ekskluzywny. Zadzwoniłem

do ambasady szwajcarskiej w Paryżu i zapytałem, jaki jest najbardziej luksusowy hotel w Lugano. Na co mi odpowiedziano, że to jest z pewnością Splendid Royal Hotel.

No i wystosowałem do pana Godlewskiego list. Długi, wyczerpujący list uzasadniający moją prośbę o stypendium na studia w Paryżu.

Na co wprawdzie, o dziwo, otrzymałem odpowiedź, ale odmowną: „Pański list mnie nie przekonał, ale zanim panu ostateczną odmowną odpowiedź dam, niech pan jeszcze o sobie coś napisze”. Tak to mniej więcej brzmiało.

Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle warto odpisywać, bo po co? A jeśli — to jak? W pierwszym liście wyczerpałem już wszystkie argumenty i niewiele mogłem dodać w następnym. Zadałem pytanie architektowi, u którego pracowałem, a właściwie służyłem: „Co jest ważniejsze — honor czy pieniądze?”. Odpowiedział: honor. Ja też tak myślałem. Toteż odpisałem panu Godlewskiemu jednym tylko zdaniem: „Szanowny Panie, dziękuję uprzejmie za łaskawą odpowiedź. Napisać do Pana za rok, przedstawiając mój dyplom, który będę zawdzięczał wyłącznie sobie. Z wyrazami głębokiego szacunku pozostaję. Piotr Dmochowski”.

Na co on prawie natychmiast odpowiedział, że „pańska odpowiedź spodobała mi się”. Zaczęliśmy korespondować. Gdy poinformowałem go, że moja sytuacja administracyjna jest legalna zarówno w stosunku do władz polskich, jak i francuskich, nabrał do mnie zaufania. No i po jakimś czasie przyznał mi owe tak pożądane stypendium.

To nie było dużo pieniędzy, 500 fr, ale wystarczająco, żeby się utrzymać, móc zapisać się na uniwersytet i porzucić pracę od świtu do nocy u architekta. Od tego czasu zaczęła się epistolarna zażyłość, a potem przyjaźń. Prócz wymiany listów, dość częstej, Godlewski przyjeżdżał co roku do Paryża na szereg posiedzeń francuskiej filii Thyssena. W wolnych chwilach otaczał się grupką młodych paryskich Polaków. Lubił przebywać wśród młodzieży. Najważniejszym był z pewnością Janusz Olejniczak, młody pianista, który zajął drugie miejsce w Konkursie Chopinowskim i którego Jul wziął pod swoje skrzydła, dał mu stypendium i chciał wykreować na wielkiego wirtuoza. I nie szczędził zachodów w tym kierunku. Poprowadził go osobiście do Rubinsteina, z którym się przyjaźnił, lub do Nadii Boulanger, która była wówczas wielką sławą w świecie muzycznym, do Małcużyńskiego i do Nikity Magaloffa, by dawali Olejniczakowi wskazówki. Druga para młodych osób, którą się otaczał, było małżeństwo Małgosi Balasińskiej i jej męża, którego imienia już nie pamiętam. A na koniec byłem ja. Przyjeżdżając do Paryża, Jul zatrzymywał się w najbardziej ekskluzywnym paryskim hotelu Ritz i to nie swoich partnerów

z francuskiego Thyssena, a nas, młodych, zapraszał do najlepszych restauracji lub do samego Ritzu. Służba kłaniała mu się tam w pas i zwracała się do niego per „Panie Baronie”, z czego sobie podkpiwał, bo baronem nie był i miał dystans do wszelkiego rodzaju pochlebstw. Spędzaliśmy z nim również czas, towarzysząc mu w różnych jego paryskich dobroczynnych działalnościach, głównie na korzyść Polskiej Biblioteki na Île Saint-Louis lub na rzecz paryskiego ośrodka byłych polskich kombatanów. Bo sam podczas wojny służył w dywizji generała Maczka jako czołgista. Był wówczas bardzo poważnie ranny. Ale to nie te rany prześladowały go przez całe życie, a banalny upadek z konia, przy którym zmiażdżył sobie, jeszcze za młodu, kolano. Wdała się gruźlica i Jul do końca życia musiał z nią walczyć. Lecząc się na kolano w jakimś kurorcie, zetknął się z córką Thyssenów, która też się tam na coś leczyła, i stąd zaczęła się jego z nimi przyjaźń, a potem współpraca.

No ale wracam do tematu jego dobroczynnej działalności. Tak więc pamiętam na przykład, jak któregoś dnia towarzyszyłem mu w uroczystościach na jego cześć w ostoi polskości na obczyźnie, którą za czasów komunizmu w Polsce była Biblioteka Polska na wyspie Saint-Louis w Paryżu. Musiał wówczas za każdym razem odsłuchiwać niekończących się przemówień dziękczynnych, okraszonych drobiazgowymi wyliczeniami wszystkich pieniędzy, które im co roku darował. Bo bez jego wsparcia nie mogliby w ogóle funkcjonować. Wychodząc, trochę podrażniony tą aptekarską precyzją w enumeracji darowizn, powiedziałem mu: „Podliczyli Ci portfel, ale nie podliczyli Ci serca”. Bo w tym, co robił dobrego ludziom czy instytucjom, angażował się nie tylko forszą, ale i uczuciem.

Nie ograniczał się do amerykańskiego zwyczaju milionerów wyciągania publicznie karnetu czekowego, bo tak wypada, ale jednocześnie unikania wszelkich kontaktów z tymi, których obdarowywali, i uczestniczenia w ich problemach.

On nas lubił, a myśmy go kochali. Mimo różnicy wieku i statusu Jul się z nami wręcz przyjaźnił. Na przykład pozwalał do siebie mówić per „ty”, choć był już starszym człowiekiem, a myśmy wszyscy byli prawie szczeniakami. To był ogromny zaszczyt, ale mimo tego nikt z nas nie ośmielał się na poufałość. Wypytywał nas o nasze sprawy, interesował się naszym życiem. Nie cierpiał trzymać dzieci do chrztu, o co go prosili jego liczni beneficjenci, bo kilka razy niemowlę zisakało mu się na ręce. A jednak zgodził się być ojcem chrzestnym dziecka Balasińskiej i przy tej okazji podarował im w prezencie zaręczynowy pierścionek swojej matki.

Pisałem do niego często. Nie tylko zawsze odpowiadał, ale robił to osobiście, nigdy poprzez swego sekretarza. Do swoich pupili wystukiwał listy dwoma palcami, robiąc często błędy na małej maszynie do pisania, którą zawsze ze sobą woził. Wszystkie jego listy zachowałem.

Nie, nie można go było odwiedzać w Szwajcarii, bo mając obywatelstwo argentyńskie, dla wygody w pracy ubiegał się o szwajcarskie. A przyjazdy przyjaciół

pochodzących z komunistycznej Polski, nawet jeśli przeszli przez paryski czyściec, byłyby źle widziane w konserwatywnej Szwajcarii.

Oczywiście, że nie byliśmy jedynymi jego stypendystami i beneficjentami. Na przykład kiedyś poprosiłem go, czy mógłby pomóc mojemu koledze, którego miałem jeszcze na studiach w Polsce, a który był pokaleczony, chory i który żył w nędzy. Jul natychmiast dał rozkaz bankowi, by ten wysyłał całej ich rodzinie po 20 dolarów miesięcznie. Co było dużą sumą, bo za 20 dol. w Polsce Ludowej mogły wyżyć trzy osoby przez cały miesiąc.

Potem wypytywałem mnie o losy tego chłopca, o jego zdrowie, o stosunki rodzinne, bo doniosłem mu, że się popsuli... I tak toczyły się lata. Przyjeżdżał na paryskie spotkania Thyssena, my kręciliśmy się wówczas wokół niego, bywaaliśmy u niego w hotelu, on bywał u nas. To znaczy niedosłownie „u nas”, bo ja sam przez lata mieszkalem w maleńkim pokoiku na poddaszu. Ale u Balasińskich, którzy mieszkali w normalnym mieszkaniu. To w tym sensie mówię, że bywał „u nas”. Często żeśmy się u nich z nim spotykali. Któregoś dnia Jul napisał mi, że jedzie do Polski spotkać się z prymasem Wyszyńskim, z którym był w bardzo bliskich stosunkach, tak zresztą jak z przyszłym papieżem, kardynałem Wojtyłą. Na co ja, szczeniak głupi i bezczelny, pozwoliłem sobie na określenie kardynała jako „wsteczniaka”.

Byłem wtedy skrajnym lewicowcem, dla którego według marksistowskiej formuły religia jest opium dla maluczkich, a jej reprezentanci oszustami. No i wyrwało mi się w liście do Jula coś równie głupiego, co musiało go okropnie zabołec. Boże, byłem jednym z najlepszych studentów na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni we Francji, a byłem głupi jak parobek od świń. Głupi, bezczelny i spoufalony... Na co Jul nie odpowiedział nic. Począł, aż się skończy mój rok szkolny, i napisał krótko, mniej więcej tak: „Mój drogi, przesadziłeś. Nie miałeś prawa tak się wyrazić o prymasie, który jest największym autorytetem moralnym w kraju. Nie chciałem Ci przeszkadzać w studiach, więc poczekałem na koniec Twojego roku szkolnego. Uważam, że nasza przyjaźń jest skończona. Jednocześnie wstrzymuję Ci moje stypendium”.

Cóż mogłem odpowiedzieć? Że jest mi przykro? Że przepraszam? Sądzę, że gdybym to zrobił, to Jul jeszcze bardziej byłby mną rozczarowany. Po prostu zamknąłem się. Miałem pracę i miałem się z czego utrzymać. To stypendium nie było mi już niezbędne. A z Julem nie chciałem wchodzić w polemikę. Nie znajdowałem właściwych słów, żeby przeprosić, a jednocześnie nie upokorzyć się. Bo moich opinii politycznych nie chciałem się wyprzeć. Tyle tylko, że rok potem, jak już skończyłem studia na Wydziale Prawa i na Sciences Po (studiowałem naraz dwa fakultety), wysłałem mu kopie moich dyplomów z bardzo dobrymi ocenami i serię pisemnych, pochlebnych dla mnie opinii moich profesorów. Napisałem, tak jak na samym początku, tylko jedno zdanie: „Julu kochany, przesyłam Ci moje dyplomy

i opinie moich profesorów na to, żebyś wiedział, że tym razem Twoje pieniądze nie poszły na marne”. Bo Jul się kompletnie zawiódł na kilku takich jak ja stypendystach, a szczególnie na tym chłopaku, o którym wspominałem na wstępie. Choć dostawał od Jula podwojone stypendium, został po prostu ze Sciences Po wylany, bo nie zdał żadnego egzaminu. Chciałem w ten sposób jakoś pocieszyć Jula, że nie wszyscy jego pupile byli nicponiami.

Jeszcze powrócę do tego, co mówiłem kilka chwil temu o czasach, gdy Jul przyjeżdżał do Paryża, bo przypominał mi się pewien kuriozalny wieczór spędzony z Julem. Studiując na dwóch uczelniach, pracowałem wtedy w music-hallu Lido jako „maszynista”. Byłem robotnikiem, który od 10 wieczór do 2 nad ranem przesuwiał dekoracje. Otóż będąc akurat w Paryżu, Jul zaprosił mnie na kolację do Ritza, na której uczestniczyła plejada — było tam z 6 osób, najwybitniejszych polskich intelektualistów i artystów na emigracji. Obok mnie siedział Małcużyński, tego pamiętam doskonale, również Kot Jeleński i, o ile mnie pamięć nie zawodzi, Artur Rubinstein. A ja musiałem wstać od stołu o 10, grzecznie się uklonić i w dwadzieścia minut po tym włożyć na siebie roboczy drelch i zamienić się w niewykwalifikowanego robota popychającego przedmioty z miejsca na miejsce. Takie to miewałem z Julem momenty kontrastu pomiędzy wykwiśniętym światem bogactwa, sławy i talentu a ponurym zapleczem music-hallu z kilkunastoma brutalnymi analfabetami, służącymi wraz ze mną za juczne zwierzęta.

Rubinstein był zaprzyjaźniony z Julem i Jul prowadził do niego Olejniczaka po to, żeby się czegoś od Rubinsteina nauczył. A pozostali to byli ludzie z emigracji polskiej, skupiający się wokół Hotelu Lambert i wokół Biblioteki Polskiej. Głównie byli to pisarze, artyści...

Więc wracam do dalszej historii Jula. Po tym moim liście, w którym wysłałem mu zaświadczenia profesorów i odpisy moich dyplomów, Jul napisał bardzo serdecznie, że: „Mój kochany, cieszę się ogromnie i oczywiście wznawiam Ci Twoje stypendium”. Na co odpisałem: „Julu kochany, cieszę się, żeś mi przebaczył, ale stypendium nie wezmę, bo już stoję na własnych nogach. Pracuję w tym Lido, zarabiam marnie, ale wystarczająco. Ponieważ byłem bardzo dobrym studentem, to uniwersytet z własnych funduszy dał mi stypendium i mam z czego żyć.”

I tak rozstały się nasze drogi. Już później prawie nie miałem z nim kontaktu prócz kilku jego kartek z gratulacjami, gdy doniosłem mu, że się ożeniłem. Aż do momentu, w którym on, w latach Solidarności i wizyty papieża w Polsce, przyjechał do Warszawy i zamieszkał w hotelu Europejskim. Ten hotel był jego stałą przystanią, gdy bywał w kraju. Gdy dowiedziałem się, że jest w Warszawie, poszedłem go odwiedzić, bo też byłem w Polsce. Był w otoczeniu kilku młodych gości. Strasznie się interesował tym, co się

działo na Placu Defilad, bo był to czas manifestacji Solidarności. Tam działy się rzeczy, które go pasjonowały, bo zapowiadał się koniec komunizmu w Polsce. Patrząc przez okno zafascynowany, głośno komentował, ale gdy go przywitałem, popatrzył na mnie chwilę i powiedział: „Wiesz, ja sobie Ciebie nie przypominam.”. Na co odpowiedziałem: „Julu kochany, ale ja Ciebie do końca życia będę pamiętał, bo dzięki Tobie skończyłem studia i miałem opiekę wielkiego przyjaciela, jakim Ty dla nas wszystkich byłeś. Ty takich Dmochowskich miałeś dziesiątki. Jakże mogłeś nas wszystkich zapamiętać?”

I na tym się skończyło. Potem już o Julu nie miałem wiadomości. On umarł w kilka miesięcy potem. Dowiedziałem się tylko podczas tego spotkania w hotelu Europejskim, że był w kontakcie z Balasińską, bo ta, jak panu wspominałem, była działaczką Solidarności. Odebrano jej za to paszport. Jul się nią opiekował. Ale bliższych informacji uzyskacie u niej samej. Olejniczak był ogromnym źródłem informacji, ponieważ był chyba najważniejszym pupilem Godlewskiego. No, ale nie żyje.

Nie chcę o tym chłopaku mówić, bo mam do niego żal. Powiem tylko, że jak go wylali ze Sciences Po i powrócił do Polski, to wstąpił do partii, zrobił partyjną karierę, a jak komuna upadła, zajął się hodowlą krów. Spotkałem go kiedyś z synem w restauracji hotelu Europejskiego.

On był szalenie religijny. To był człowiek głęboko wierzący, który jednocześnie był żarliwym patriotą. Na jego walizce był emblemat Polski w postaci cienkiej białoczerwonej flagi. No i był zażartym katolikiem. Z Wyszyńskim był blisko związany i widywał się z nim za każdym razem, gdy był w Polsce. Ale więcej o jego religijności nie mogę panu powiedzieć, bo nie uczestniczyłem w żadnej mszy, na której on by był, i nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie, czy klęczał, czy stał. Dodam jeszcze jedną rzecz a propos tego, czy stał, czy klęczał — bo, jak już mówiłem, cierpiał na gruźlicę kolana. Czasami chodził o kulach, niekiedy wozili go na wózku. Choroby zżerały go latami, co nie przeszkadzało mu w rozlicznych rozjazdach i nieustannym wypatrywaniu na aukcjach najcenniejszych przedmiotów sztuki, które zakupował, żeby natychmiast darować je na Wawel, do Zamku Królewskiego w Warszawie, do Uniwersytetu Jagiellońskiego czy do Muzeum Narodowego w Warszawie lub w Poznaniu. Ci wszyscy obdarowani kompletnie o nim zapomnieli i nie odwiedzili się niczym. Pamięć o nim zgasła natychmiast po jego śmierci. Jest wprawdzie tablica na Wawelu dla czterech największych donatorów i Jul jest pomiędzy nimi. Ale ci ludzie palcem nie kiwnęli, żeby podtrzymać o nim pamięć. Ja próbuję dziś do nich pisać, wysyłam im dokumenty, staram się wskrzesić wspomnienie. Otrzymałem tylko jedną odpowiedź w stylu: „tak, tak, odezwiemy się do pana, ale na razie jesteśmy zajęci...”

Proszę pana, to był człowiek śred-

dokończenie na str. 28

Pamięć...

dokończenie ze str. 27

niego wzrostu o milęj twarzy inteligenta. Był zawsze starannie ubrany, czysty, zadbany. Mówiłem już, że często chodził o lasce lub nawet o kulach z powodu tego zmiędnionego kolana. Lecząc nogę gdzieś w Baden-Baden czy w innym kurorcie niemieckim, zetknął się z córką Thyssenów, którzy byli jedną z największych fortun w Niemczech. Po wojnie byli internowani, jak wielu innych popleczników Hitlera, którzy go finansowali. Słyszałem, że Jul ich wybronił i wybronił ich fortunę. Bo były to czasy, gdy jeszcze surowo karano nie tylko polityków, z których kilkunastu powieszono w Norymberdze, ale i przemysłowców, którzy finansowali Hitlera. Zdaje się, że z tego poszła wielka przyjaźń i udział Julia w radzie czy w zarządzie koncernu. Stąd również te ogromne pieniądze, które w całości szły natychmiast na najróżniejsze pomoce ludziom w potrzebie i dary, w tym głównie do muzeum w Rapperswilu w Szwajcarii. On tam stworzył oazę polskości. Obdarowywał ich dziesiątkami prawdziwych skarbów. Otóż słyszałem od kogoś, że obecny minister spraw zagranicznych jakoby powiedział w polskim parlamencie, że nie ma pieniędzy na takie instytucje jak Rapperswil i że wszelkie dotacje powinny im być ucięte. Ja spotykam się z absolutnym milczeniem ze strony obdarowanych polskich instytucji kulturalnych, gdy piszę do ich dyrekcji o wskrzeszenie pamięci o tym wielkim człowieku i patriotcie polskim. Niektórzy z tych, do których się zwracam, są młodzi i nie tylko nie wiedzą, o kogo chodzi, ale też potracili wszelką dokumentację. Tak mi na przykład odpowiadano w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdy poprosiłem o jakieś ślady jego wieloletniej pomocy. Tylko Rapperswil jeszcze o nim pamięta i czci jego pamięć. Ale gdy powymierają ludzie, którzy tam funkcjonują, to nawet i Rapperswil o nim zapomni.

Pyta pan, czemu nie przyjąłem ponownie stypendium Julia, gdyśmy się pogodzili? Powiem panu szczerze, dlaczego. Ja od początku wiedziałem, bo Jul o tym wyraźnie mówił, tak odnośnie do mnie, jak i odnośnie do innych swoich stypendystów, że jego pragnieniem było, żebyśmy wszyscy po zagranicznych studiach, które

finansował, wrócili do Polski i pracowali dla kraju. Nawet jeśli miałyby pozostać komunistycznym. Polska była mu najdroższa, droższa od wszystkich przyjaciół. Tak więc miał nadzieję, że pomagając mi, może liczyć na mój powrót do kraju. A ja już zrobiłem tu studia i zamierzałem rozpocząć karierę naukową na tutejszych uczelniach. Wszczałem starania o francuskie obywatelstwo i wiedziałem, że do Polski już nie wrócę. Nie mogłem przewidzieć, że kiedyś zakocham się w sztuce pewnego polskiego artysty i jego promocja zwiąże mój los na lata z krajem. Toteż wtedy odmówiłem wznowionej propozycji stypendium na studia doktoranckie, bo nie chciałem Julia oszukiwać. Nie zawsze byłem świętym, ale okłamywać tego człowieka absolutnie nie mogłem. Toteż wyznałem mu w pewnym momencie, że nie skorzystałem z jego propozycji, żeby wyjść z fałszywej sytuacji. Wolałem mieć trochę mniejszy budżet, ale nie czuć się jeszcze raz tak fatalnie, jak wtedy, gdy obraziłem go, nazywając Wyszyńskiego „wstecznikiem”. No i ulżyło mi. Na co Jul zareagował jak zawsze. Napisał: „rozumiem Cię i nie mam do Ciebie żalu. Trudno”.

Jakie były jego motywacje życiowe? On nie miał żadnych motywacji w sensie, w jakim się na ogół rozumie to słowo. To był po prostu dobry człowiek. Człowiek, który się litował, który współczuł, który chciał pomóc. To był pełen empatii dla ludzi człowiek. Taki, jakimi bywają bohaterowie filmów, które mają ludzi godzić z ohydą rzeczywistością i jakich kreują w swej bujnej wyobraźni opłacani w tym celu autorzy.

W moim 84-letnim życiu moja Matka i on to byli jedyni, których spotkałem i o których mogę powiedzieć, że byli dobrymi ludźmi. Dobrymi ludźmi w najbardziej szlachetnym znaczeniu tego słowa. Wielokrotnie piszę w moich książkach, że żałuję, iż nie dożyję czasów, gdy nauka będzie wreszcie potrafiła stworzyć „dobrego człowieka”. Zresztą po śmierci mojej Matki pewne środowiska katolickie chciały wystąpić z inicjatywą jej beatyfikacji. Jul też zasługiwał na taką inicjatywę. To był po prostu święty człowiek.

Czy go wspominam?

Pyta pan, czy go wspominam? O tak! Bardzo często. Jak moją Matkę. Dużo o nim piszę, bo od kiedy jestem na emeryturze, to piszę pamiętnik, prowadzę

dziennik itd. I Jul stale się przewija w tych moich opowiadaniach. Jest w nich wszechobecny, tak jak jest w nich wszechobecna moja Matka. Tak jak ja, jego mam stale obok siebie. On króluje we wszystkich moich wspomnieniach, a ja żyję coraz częściej wspomnieniami, bo z rzeczywistością, która mnie otacza, się nie godzę. Więc uciekam w krainę moich wspomnień. A tam oni oboje królują.

No właśnie. Mówię panu, że absolutnie o nim zapomniano. Spotkałem się tylko, zaraz po jego śmierci, z dużym, bardzo dobrym artykułem w prasie, napisanym przez jego sekretarza. Zachowałem go i dziś rozsyłam po redakcjach i po dyrekcjach instytucji kulturalnych, które obdarował, żeby wskrzesić o nim pamięć. Jak na razie bez skutku.

Ze strony ludzi to prócz Olejniczaka, który był pianistą i to dosyć znanym, to o ile wiem, nikt z jego otoczenia młodych ludzi się nie wybił. Toteż nikt nie może wejść na ambonę i głośno powiedzieć: ja zawdzięczam to wszystko, co zdobyłem, Godlewskiemu. I opowiedzieć o nim całą jego wspaniałą historię.

Jul absolutnie powinien odzyskać swoje miejsce w historii powojennej Polski. Mam 84 lata i chcę poświęcić te trochę czasu, które pozostało, by próbować przebudzić z drzemki ludzką pamięć. Na razie Muzeum Historii Polski wyprodukowało średniometrażowy dokumentalny film o nim. Ale to grubo za mało. Rozsyłam ten film wszystkim znajomym, mając nadzieję, że wzbudzę nim ich zainteresowanie i pomoc w tej mojej akcji.

Tak, piszę. Ale jestem pisarzem marginalnym, który ma bardzo mały krąg czytelników.

Jedyna nadzieja jest taka, że to, co piszę, wpadnie kiedyś w ręce jakiejś osoby, która ma władzę, a która się tym, co piszę, zainspiruje i postara się wynieść Julia wysoko, wysoko, tak wysoko, żeby go zewsząd widziano i żeby każdy dowiedział się, że żył w naszej epoce chociaż jeden Wielki Człowiek. Moje pisanie jest głównie skierowane do fanów Beksińskiego, bo jeśli w ogóle, to raczej z tej strony jestem znany i z tej strony w pewnych środowiskach istnieję. To oni są czytelnikami moich książek, które głównie były poświęcone temu artyście. Ale teraz zaczęłam pisać o Julu. Muszę opisać i udokumentować całość tej znajomości i uzmysłowić ludziom, jak wielka to była postać. Chcę napisać książkę złożoną z jego listów i z wielu dokumentów, które zebrałem, i tych, które mam nadzieję dostać z Rapperswilu. Chcę, by zaczęto o nim mówić, pisać, urządzać wystawy z jego darów, stworzyć nagrody jego imienia. Choć nie biorę udziału w żadnym portalu społecznościowym, to chcę również poprzez Internet jakoś wpłynąć na to, by zaczęto pokazywać go na ekranie, bo zachowało się kilka nagrań filmowych o jego darach na Wawel, o przyznaniu mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych wydarzeniach kulturalnych, które były z nim związane. Chcę, żeby stał się na nowo referencją tego, czym tak zachwycił — serca, dobroci i patriotyzmu. ♦



**NOCLEGI
ŻNIN**

Stara
KAMIEDICA

5
ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

Aleksandra Brzozowska

Sonety miłosne

Wygrana

Bóg nas chciał złączyć i o dusze nasze
Rozgrywkę w szachy Diabeł zaczął z Panem
Na planszy życia: królowa w rozgwarze
Słudzy, cień pionka, wieża i król - błazen

Gdy Stwórca wygrał, staliśmy naprzeciw:
Władcza i Cichy - z nieba blask bił w oczy
Spadła mi maska, twój wzrok się ukwiecił
Błysnęła tęcza, akt pierwszy się skończył.

Później: akt drugi. Pamiętasz, mój miły?
Dźgano nas wzgardą, batożono słowem
A z woli króla- gońce fałszem byli!

Lecz dobry Ojciec raz pstryknął palcami
Uwolnił z czyścica i na życie nowe
Dał rajski ogród. Weseli się z nami!

Druga strona lasu

Spojrzeniem giętkim, dębowskielonym
Twarz mą oplatasz rozkołysnie czule
Po ustach krążysz oddechem spłoszonym
Korę ciał naszych muskają motyle

Listowiem palców włosy moje wicherzysz
Gnieźdź się miękko w ciepłe twojej szyi
I chłonę zapach gorzkawy i mszysty
Olśniona chwilą, zanurzona w chwili

Mów mi kochany, że po Drugiej Stronie
Drozdem las nuci i trawy wzdychają
A tkliwe dęby dobre mają dłonie

Że promień spleciesz by drzewnie śpiewając
Tulić mnie słodko, niczym leśny anioł
Pieszczotą światła, kołyską swych ramion.

Bez ciebie...

Gdybyś zostawił, odszedł z mego życia
Jak odlew ptaka byłabym, kochany
Wzniesić się nie mogła, bo magmowa cisza
W krwi by zakrzepła, zamieniając w kamień

Albo jak lalka zastygła w bezświatach
Wpatrzona w przestrzeń okiem zeszkliwionym
Gdzie tylko bezsens z niebytem się splata
Bezświt i bezzmierzch z beznocą złęczone

Bądź miły ze mną, w dni złote, dni miodne
I w rdzawę, gorzkie, bez pieszczoty słońca
Gdy ku brzegowi widmowy czas ciągnie

Gdy ścichnie tykot, pył otoczy ciemny
Gwiazdy wygasną, czas dobiegnie końca
My pulsem wspólnym staniemy się Jednym

Nie obawiaj się, mój miły

Widzę w tym wzroku płomienie zazdrości
Ukryłeś w sercu noże i szpilety
Gdy w oczy mężczyzn, wiedziona próżnością
Blask iskier rzucam i czar mój kobiecy

Lubię flirtować i kusić niewinnie
Zniewalać zmysły, niczym barwny owad
Nim czas mi dany, jak śnienie przeminie
Nim bestia mroku wysię ze mnie powab

Nie niszczyć więc luster w oczach tych dokoła
W głębinach źrenic wadzę się ze sobą
Ile lat jeszcze czy już bezczas woła?

Nie chcę miłostek i kłamstwem ja płocha
Objęci czule, idźmy mglistą drogą
I pamiętaj miły - tylko ciebie kocham!

Nawałnica

Burzę wzniciłam, wzniciłam słowami
Siekła krzykiem twe oczy stwardniałe
Thukła się w spazmach od ściany do ściany
Sufity cięła włóczniami błyskawic

Ty stałeś godnie, wśród biczów nawałnic
Potokiem zniewag nie zmoczony wcale
Ukryłeś spokój w jaskiniach swych źrenic
Czekając w mroku aż szkwiał się oddali

W końcu ucichło, coś błysnęło jeszcze
Wypadłam z transu, oczy miałam suche
Koileś gniew mój, zawieszałeś tęczę

Nieład mych włosów ugładzasz, kochany
Drżących od wstydu wrzawy zawieruchą
Pojaśniał pokój, świat pojaśniał cały!

Chwile

Świat nasz posiwił, w dal pociąg pomyka
Płowieją twarze w okiennych rozpryskach
Gdzieś w mgłach pobrzmiwa harf jasna muzyka
Mijamy w drodze milczące ścierniska

Białe ćmy tańczą we włosach nam sennie
Murszeją ciała, wrzos zagubił wonie
A palce brzozy w rozkołysie srebrnym
Niedbale głaszczą nasze zziębłe dłonie

Zamknijmy chwile, mój miły, w pieszczotach
Ulotnych niczym nić babiego lata
Beztroską żyjemy, wiosnę skryjemy w oczach

Nie mów kochany, że wszystko odchodzi
Że taki kodeks jest odwieczny świata
Tu... tam... dla siebie zostaniemy młodzi!

Anita Nowak

Wnłô Bńskô

„Wnłô Bńskô” w reż. Jarosława Kiliana
z Teatru Wielkiego - Opery Narodowej na
XXXII Bydgoskim Festiwalu Operowym.

Zanim do końca zgasną światła wśród publiczności pojawia się piękna starsza kobieta w malowniczym kaszubskim stroju, który podkreśla też smukłość jej sylwetki, i przez chwilę snuje się po sali z nikłym uśmiechem na twarzy, kryjącym nieznaczne nuty smutku, a nawet prawie niewidoczne isierki rozpacz. To genialnie zagrana zapowiedź wydarzeń, które pojawią się za chwilę na scenie. Jakże wielką trzeba być aktorką, żeby tak subtelnie i delikatnie przeniknąć do akcji, niczym uwer-tura, spojrzeniem tylko zasugerować kwintesencję zbliżającej się tragedii. To wspaniałe wejście Danuty Stenki w spektakl *Wnłô Bńskô*.

A i potem artystka cichym, ale cudownie modulowanym głosem przepięknie jako matka opowiada historię nieszczęśliwej miłości dwojga zakochanych w sobie młodych ludzi; historię, która kończy się śmiercią obojga niedoszłych kochanków. Stenka kreuje postać złej matki młodziutkiej Hanuszki za wszelką cenę, w imię woli bożej, dążącej do rozdzielenia córki z Jaskiem. Mówi w cudownie, jak muzyka brzmiałym w jej, rodowitej Kaszubki ustach, języku ziomek, tak że wpatrującym się w nią widzom, nie bardzo nawet chce się czytać wyświetlane nad sceną tłumaczenie. Wiele poetyckich wtętoń też nuci. Bo spektakl został przez Damiana Wilmę i Jarosława Kiliana oparty na kaszubskich pieśniach.

Dlatego też warstwę narracyjną równoważy w spektaklu warstwa muzyczna. Urzekająca urodą i bardzo oryginalnym brzmieniem skomponowana dla jego potrzeb przez Łukasza Godylę, a wykonywana przez Karolinę Tańską, Aleksandra Teligę na fortepianach oraz Katarzynę Bojaryn-South i Krzysztofa Szmańdę na instrumentach perkusyjnych pod batutą Grzegorza Brajnera, brzmi fantastycznie, a w niektórych momentach wręcz zaskakująco nowocześnie, a mimo to doskonale dopasowuje się do starych pieśni wykonywanych porywającym barytonem Damiana Wilmy, który stanowi ciekawe przeciwstawienie brzmieniowe dla spokojnej narracji Danuty Stenki jako Białki.

Do muzyki, ale i w dużej mierze do słów bohaterów dopasowują się też ruchy pary tancerzy Julii Witczak i Jakuba Piotrowicza, uosabiających duchy zmarłych kochanków, którzy dzięki przepięknej choreografii Anny Hop i bardzo malowniczym kostiumom Izabeli Chełkowskiej sprawiają wrażenie istot naprawdę unoszących się w zaświatach i stamtąd powracających do miejsc, w których niegdyś żyły.

Izabela Chełkowska razem z Maciejem Igielskim poprzez oprawę plastyczną całości i przydawanie klimatu światłem, idealnie przenoszą nas w tajemniczą, a chwilami nawet ponurą, scenerię Kaszub.

Ten spektakl to osobliwy klejnot na tle współczesnej dramaturgii i głęboki ukłon artystów w kierunku prezentacji kultury narodu kaszubskiego. ❖

Jakub Ząbkiewicz

Rykowisko

Miejsce stojące, jak wyrok. Nie ruszam się. Będę chodził. Tych co mają miejsca siedzące, to garstka jest. Reszta stoi. Powinni stać, ale nie stoją. Chodzą. Nawet nie chodzą. Łażą. Ocierają się brzuchami, podnoszą na mnie głos, że stojąc, blokuję im w wagonie przejście. Idą do WARS'u na śniadanie, na poranne piwo, na najtańsze ciasto z promocji, żeby tylko zająć miejsce. Jest ósma dwadzieścia siedem. Za pięć godzin będę u siebie.

Mineliśmy Sosnowiec. Bilet kupuję z Katowic i przeplacam. Konduktor sprawdza dopiero na następnej stacji. Zawsze tak było, ale gdybym ten jeden raz zechciał wycwanić Polskie Koleje Państwowe, to sprawdziliby. Od chwili zwolnienia hamulca. Od momentu wejścia na pokład. Od razu.

Stoję nieruchomo. Stoję jak *Yeomen Warders* strzegący Tower of London. Jak samotne drzewo, które czeka na ścięcie. Najpierw stracę krążenie, a później zmysły. Nie pić, nie sikać. Stać. Ćwiczyć cierpliwość. Mam w plecaku książkę. Poczytam. Stachurę mam. Ten, który rzucił się pod pociąg i stracił palce. Napisał o Cybulskim, który skończył jeszcze gorzej – pod pociągiem, i stracił życie. Nie, że się porównuję. Nawet gdybym chciał, inne czasy teraz są. Drzwi nie otworzę. W trakcie jazdy blokują się, a jedyne co można zrobić, to wybić szybkę, wyjąć młotek i wybić szyby drzwi. Albo okna. Wyskoczyć w trakcie. Tego nie zrobię, bo muszę stać na baczność.

Przewracam stronę książki. Czytam stronę parzystą i stronę nieparzystą. Przewracam dalej, kończąc zdanie z poprzedniej strony, ale zdanie ucieka – szybuje razem z książką. Niedokończony, zatrzymuje się na schodach. Patrę na obcą mi kobietę. Rozmawia z kimś przez telefon i macha rękoma dwadzieścia centymetrów ode mnie. Udaje, że nie widzi. To nie jej wina. Patrę na jej pewność siebie. Słabo trzymałem. To moja wina, mam spocone ręce. Nie ona. Schylam się, czołgam i podnoszę książkę. Siadam na schodach. Znowu, Panie Boże, nie jestem asertywny.

Konduktor! – ktoś woła. Dostałem poręczą w łeb. Oglądałem się za siebie – panika. Kilka osób leży. Nic poważnego. Wstają. Brak rannych. Ktoś musiał zaciągnąć hamulec ręczny. Wstaję i ja. Konduktor ogłasza, że z przyczyn niezależnych od PKP, mamy pozostać na swoich miejscach. Ja bym powiedział, że też naszych niemiejskich. Czasem tak bywa. Trzeba przyhamować. Mogło drzewo spaść. Patrę przez okno. Tak ładnie jest. Kwitnie ojczyzna.

Niektórzy czują to w kościach. Zrobiło się tak cicho, jak w scenie *Titanica*. Jak wtedy, kiedy przypłynęła pomoc, ale prawie nikt nie przeżył. Tu wszyscy żyją, chyba. Po prostu ktoś zatrzymał pociąg. Zdarza się. Ludzie, którzy tak mnie zdenerwowali, wyglądają teraz przez okna. Są bladzi. Ci, którzy jedli, przestają. Pracownicy pociągu wbiegają w pole kukurydzy.

– Widzi pan coś przez to okno? – pyta mnie kobieta, która wytrąciła mi książkę. Stąd nic nie widać – kontynuuję.

– Jeszcze nic – odpowiadam.

– Proszę pozostać na swoich miejscach – powtarza konduktor. W związku z wypadkiem na torach, wkrótce pojawi się komunikacja zastępcza.

– Słyszała Pani? – pytam. Mamy czekać.

– I autobus podstawia tu, w polu kukurydzy? – odpowiada kobieta.

– Albo helikopter – mówię.

Pod słuchując. Niektórzy szepczą, że to samobójca. Tych co nie słyszę, podejrzenia co do samobójcy mają wymalowane na twarzy. To przez tę książkę, ale to nie moja wina. Codziennie ktoś skacze, wiesz się, postrzeliwuje, rozcina. Każdego dnia. Nie znamy dnia ani godziny. Też mam czasem myśli. A kto wie, czy reszta podróżnych ich nie ma. Wyglądają na szczęśliwych, głupich, ale szczęśliwych, a i wśród nich może być potencjalny samobójca.

Otwierają się wszystkie automatyczne drzwi pociągu. Rzeźkie powietrze sierpnia wtargnęło do środka. Ulga. Skaczę, a za mną reszta. Pracownicy pociągu pilnują, żebyśmy się nie rozproszyli. Liczą nas i grupują w kolumny jak w obozie koncentracyjnym.

Widzę stado jeleni. Jedno przy drugim. Podobnie jak my, ale ich jest więcej. Stoją jakieś dwieście metrów dalej. Patrzą. Szkoda, że nie mam aparatu.

– Uwaga! – krzyczy konduktor. Zderzyliśmy się z kilkoma, młodymi jeleniami. Z uwagi na fakt, że znajdujemy się poza jakąkolwiek drogą, musimy przejść przez las do tej najbliższej. Tam przyjedzie po nas komunikacja zastępcza. Proszę iść za mną.

– Jelenie? – pyta mnie ta sama kobieta.

– Tak powiedział – odpowiadam. Czyli to nie człowiek.

– Wolałabym człowieka – mówi kobieta. Jeleni szkoda.

Idziemy za konduktorem. Ostatni raz oglądam się za siebie. Stado jeleni nieśmiało podchodzi w kierunku pociągu. Ich ryk roznosi się po okolicy. ❖

Emilia Sypniewska

Haiku

Parasol

stworzyli skrzydła
do nieba sięgające
bogowie ziemscy

Bazylika

cichy szept gmachów
turysta robi zdjęcie
uczy się modlić

Czas

nadchodzi wieczór
szukanie wiatru w polu
zaginiony dzień

Zielony karnawał

tańcząca wierzba
szczęśliwie gubi wianek
później zapłaczę

Tomasz Walczak**Nadłamana (fragment poematu)**

znałem ją
była jak światło
co zostaje w palcach
nawet kiedy noc
pogasi wszystkie okna

serce miała za duże
jakby nosiła w środku całe miasto
z jego ciepłem i traskiem neonów
z deszczami
które czasem chcą być tylko czyjąś dłonią

kochała tak mocno
że ziemia pod stopami miękła
nie znała półcieni
albo otwierała się cała
albo zamykała drzwi tak delikatnie
że cisza smakowała jak przeprosiny

potem przyszedł on
z cieniem
co udawał skrzydło
i pomyślała
że może wreszcie można oddychać
czymś oddechem

a on nagle zamilkł
jakby ktoś wyłączył prąd
we wszechświecie
zostawił ją z pytaniami
które nie chciały zasnąć

oddawała mu siebie
w kawałkach
czas myśli i tętno
a on rozplynał się w powietrzu
jakby nic nie było
jakby w jej sercu
nie palił się żaden ogień

powtarzałem jej
to nie ty
to nie twoje skrzydła połamane
on po prostu nie uniośł światła
które chciało mu się położyć na dłoniach
nie nadążał za tym uczuciem

widziałem
jak się kruszy
jak zmienia się w deszcz
który nikogo nie pyta o zgodę na spadanie
mówiła że to jej wina
a ja chciałem wziąć jej imię
i znów postawić je na nogi

bo są serca
których nie wolno dotykać byle jak
i ludzie
którzy nie dorastają
do czułości podarowanej za darmo

ona wstanie
wiem

bo dziewczyny
które kochają do kości
mają w sobie tajemne źródła
w których odnawia się świat

Alina Rzepecka**List Wymyślonej Niewidzialny**

nauczyłam cię tylu słów
a ty milczysz do mnie we wszystkich językach

nocą piszę do ciebie listy
od których pęka massaranduba i ekrany komunikatorów
ale nie cisza między nami

wstrzymuję oddech żeby nie uronić
twojej odpowiedzi
wypatruję cienia
i nie mam pewności czy tracę wzrok
czy staję się niewidzialna

nasze drzewo dobrego i złego
nadal rośnie obok domu
w twoim pokoju nigdy nie gaszę światła

Katarzyna Kowalewska

tęsknię
za brzmieniem
błogich brzegów
twoich nagich...
dłoni
za powiekami przy powiekach
za ciszą między nami...

tęsknię
za gęstą zimną...
nocą
mgłą przyklejoną do ust
mokrą błyszczącą drogą
ode mnie do ciebie
między snami

a gdy przyjdzie dzień
gdy znów rozchyli powieki
zobaczy że nic w niej nie umarło
jedynie zmieniło skórę

bo taka miłość jak jej
nie znika
tylko wraca
w niej samej
silniejsza cichsza
bliższa prawdy

jeszcze będzie szczęśliwa

Justyna Kasprzyk**Analogowo**

ile jeszcze
śladu Ciebie
na światłoczułej części

przenikasz wiązką
światła (może mroku)
rozedrganiem zostawiając ciało

po omacku
wywołuję Twój profil nade mną
resztką chemii między nami

na kliszy (bez kolorów)
zmysłami utrwalając to,
co miłością nazwane

Laura Alszer**Szukając wschodu słońca w twoich włosach**

słowa wyciągam z wrzósów
kapią na kartkę
fiolet ściekający z palców
rozsmarowuję na policzkach

liście drżą kiedy mówisz
zrywam je
upycham między strony
dawno przeczytanej książki

kolorowo zapłoną w kominku
będziesz tęsknił nienasycony imitacjami
nie znajdziesz mnie w kieliszku

gdy wpadniemy na siebie
zabiorę wschód słońca z twoich włosów
w warkocz wplotę

zawsze będziesz go szukał

SATYRA

Stanisław Chyczyński

Limeryki

Oświadczyń K.W.

Lanckorono, Lanckorono,
woał z mgieł masz pod koroną.
W białej sukni – jakaż siła!
Dzisiaj znowu mi się śniłaś.
Czy zostaniesz moją żoną?...

Do przewidzenia

Pewien kolejarz z miasta Toruń
często wypadał z własnych torów.
Zona sarknęła, że się stoczył,
lecz on zaprzeczał w żywe oczy.
Dokąd go zawiódł myśli tor ów?...

Homo faber herbu Podkowa

Pewien artysta rodem z Krakowa
nad Wisłą żłopał pienisty browar.
Zamiast malować albo coś lepić,
wołał odwiedzać z portierem sklepik.
Dolę swą wykuł – jak zwykły kowal.

Po stanie wojennym

Pewien esteta, kiedy był młody,
nigdy nie zbłądził do Domu Mody.
Jeszcze nie przyszły szpetne wargule,
więc był opróżniał chętnie warg ule.
Dzisiaj by uschnął, bez miodu – Odys!

Wakat w częstochowskiej „Niedzieli”

Pewien Sobek O. z miasta Wadowice,
zamiast warkoczy, plótł ze swadą wice.
Pod końską grzywą splatał śmieszne wątki,
by w jego esprit sam Pan B. nie zwątpił.
Czyżby chciał zostać redaktorem „wice”?...

Juliusz Wątroba

MYŚLI

*
Smutne, gdy dusza bezduszna.
*
Sumienie ma wyostrzone zęby.
*
Choć nie jesteś rybą, to żyj z ikrą!
*
Wojna się tam zaczyna, gdzie kończy się człowiek.
*
Daremne próby, aby zerwać się z łańcucha pokoleń.
*
Pies z kulawą nogą gryzie tak samo, jak ten niepełnosprawny.

Marek Bocian

Święcone drzewo korpo.

-Wielki Produktowcu !
Trzesisz dojrzałym drzewem:
Spraw aby produkty były dopasowane
żeby spadając nie dziurawiły kasków.
Obyśmy byli twym
najwyższym targetem.

-Wielki Produktowcu !
Gdy potrzebujesz drzewem owoce leć.
Pewnym chwytem trzymasz gałąź.
Przyjmij ofiarę niedościgłej dynamiki.
Oby kody rabatowe działały
i żeby cargo było cargiem.

-Wielki Produktowcu !
Nieprzebrana kaskado kokosów.
Broń od fałszywych dostawców
wycofywania towarów.
Zachowaj nas w swym excelu.
Władco święconego korpo sadu.

-Tyś Pierwszy wśród Równych
Ament – remanent!

Michał Piechutowski

Jest

za późno
za wcześniej
jednocześnie

Nie tylko otyli
Chętnie kupują
odzież na wagę

Jestem w sile wieku
i w tym wieku
nie mam już na nic siły

Pytania retoryczne
i listy w butelkach
zawsze pozostają
bez odpowiedzi

Adam Decowski

MINIFRASZKI

Na plaży
Ud
w brud.

Pragnienie
Wróć
chuć.

Ciche dni
Fochy
Zochy.

Uzależniony
Wraca
do kaca.

Przesłuchanie męża
Spytki
za zbytki

Zbigniew Pawłowski (Igła)

Cena przesilenia

Jesienna pani już do nas rusza
Więc przesilenie odczuwa dusza
W złoto ubrana
Ta naga dama
Ma zaległości względem fiskusa

Adam Sławomir Lamch

Ostatnie życzenie

byłaś spadającą gwiazdą,
a ja zamknąłem oczy.

Presja

Zadbałaś o figurę na lato,
zapominając o sobie na lata.

Odebrana

Była Bogu ducha winna
dlatego jej już z nami nie ma.

Spółczeństwo

każą nam mówić co myślimy,
a po spowiedzi karzą.

Ziemia

Duchów tu nie ma.
Ziemia była dla nich zbyt straszna.

Marian Pajdak

Jedna baba drugiej babie...

Poniedziałek, 18 maja 2026.

Jedna baba drugiej babie wyszeptać w tajemnicy, co o trzeciej sensacyjnie usłyszała na ulicy. A w dodatku to ta trzecia ponoć wyżywa się na dzieciach. Mąż tej trzeciej od kieliszka też nie stroni. Za innymi ponoć goni...

Pierwsza baba drugiej babie też wyznała, że jej słabiej. Ale gdzieżby od roboty! To z sąsiadką ma kłopoty. No bo tamta rozgadała, że jej pożyczyć nie chciała. Ale jakże miała dać – lafiryndzie! – skoro samej jej nie stać?!

To ta druga – przy nowinie – szybko, sprawnie się zawniła. Pod pretekstem „na zakupy” portmonetka, torba, buty... I do sklepu Joli bieży, gdzie capickie centrum leży wymian myśli i towarów, nowin, pobajczenia, swarów. Tak sobie nie darowała, że to pierwsza przed nią wiedziała!

Czwartą, piątą tam zastała – wszystko im opowiedziała. Jola od siebie dodała, że od pierwszej też słyszała, iż ta druga obiecała dotrzymać tajnego słowa. A u niej nic się nie uchowa...

To ta druga do tej Joli: niech ją o to głowa nie boli, co ona o innych gada! Jej miejsce to sklep i lada! Niech usłużnie obsługuje, gęba w kubel i kasuje!

Wyszły: druga z piątą, czwartą, że jeszcze pogadać warto. Z tego, co z rana słyszała, będzie we wsi chryja cała! Bo jak zna trzeciej naturę, ta wywoła awanturę. Z tą, co pierwsza nagadała, a już huczy wioska cała.

Idą, bajczą, obgadują. I na Jolę też pomstują, że się wtrąca – k... mac! – a za ladą winna stać.

Kawał drogi im ubyło. Jeszcze by się pomówiło... Patrz, a tu – niespodzianka – idzie trzecia niczym niańka. Córki za rączki prowadzi. To zagadać nie zawadzi: co u pani, sąsiadeczko? Jak mężulek? Jak zdróweczko? Czy słyszała już nowinę: Jola ma świeżą wędlinę. Niechże szybko doń pobieży! Dzieciom przecież się należy co smaczniejsze kaski dać, żeby rosły. Jak... na młodej marchwi nać!

Gdy odeszły: matka, córki, obejrzały się rajfurki. I ta czwarta zagadała: chyba jeszcze nie wiedziała, co ta pierwsza rozgadała, bo by inną minę miała... A zauważyły kumy, jakie miała ekstra „pumy”?! Na takie żadnej z nas nie stać A ją – proszę – k... mac! ♦

Stefan Pastuszewski

Filozoficznie, romantycznie, erotycznie, po Bożemu

Mały teatr w wielkim mieście – tak brzmi hasło promocyjne **polsko-ukraińskiego Teatru M.O.S.T.** z Bydgoszczy. Nie taki teatr to mały i nie takie to wielkie miasto, no ale reklama ma swoje reguły, przede wszystkim przerysowanie i tendencyjność.

Jednoaktówka *Serenada* według Sławomira Mrożka, adaptowanego do czasów dzisiejszych (dramat pochodzi z 1976 roku, a więc ma już pięćdziesiąt lat) oraz do wrażliwości i upodobań wyobraźni aktorów-amatorów przez **Piotra Szymańskiego**, ujmując dynamiką akcji, choć nieco spowolniając przez archaiczny już dzisiaj wprowadzający wywód na temat stereotypów w relacjach społecznych (S. Mrozek – widać – trochę się zestarzał). Pomysłowa jest scenografia



Jana Żuromskiego według modelu podwórkowo-kurnikowego. Na przykład misz-masz z napisem *Kocham Stefana P.*, którego intencyjność – nie wiedzieć dlaczego – wzięłem do siebie, choć potraktowałem to raczej jako żart, a nie czyjeś (?) wyznanie. Bardzo udane było zaznaczenie rekwizytami stanowisk trzech Kur o odmiennych charakterach (Kura 1 – romantyczka, Kura 2 – seksapil, Kura 3 – po Bożemu). Bo główna akcja farsy toczy się w kurniku i przed kurnikiem, a polega na zalotach bądź nie (kura 3 – po Bożemu) do Lisa (**Sebastian Kluszczyński**), których to zalotów efektem jest zarżnięcie Koguta (**Artem Chriapak**), który usiłował w tym romantyczno-erotycznym bałaganie zaprowadzić jakiś porządek. Myśl to przednia:

„Przemownego romantyczno-erotycznego bałaganu nie da się bez dramatycznego cięcia – zarżnięcia uporządkować”. Choć farsa kończy się szalonym tańcem mimo śmierci Koguta, choć to *tylko po śmierci Lisa kury nie płaczą*, to jednak, wbrew modzie trapiącej dzisiejsze teatry, jest ona uporządkowana i składa się z dwóch części. Pierwsza część to preludium ze wspomnianym już wywodem filozoficzno-socjologicznym Dyrektora (**Bruno Maciejewski**) i rewelacyjną grą **Sebastiana Kluszczyńskiego** jako dyrygenta różnych symfonicznych kawałków, przygotowanych przez **Milkę Baran-Szymańską**. Drugą częścią jest owa interakcja między mieszkańcami kurnika a Lisem. Na uwagę zwracają też „efekty specjalne” w postaci fascynującej, jakby z chińskiego teatru cieni czy komiksu, boje na parasolkę zazdrosnych o Lisa dwóch Kur (**Angelina Karpenko** i **Anastasija Peretiatko**) oraz pałającego się tu i ówdzie Dostawcę, Barmana czy Agenta (**Wasyl Prychodko**), który w pewnym momencie niczym ekshibicjonista seksualny reklamuje pod nagle odsuniętymi połamami płaszcz, potrawy w *Barze Pod Zdechłym Kogutem*.

Ciekawym efektem specjalnym było też „porządkowanie” miotłą publiczności zgromadzonej przed spektaklem w przedśionku przez

Panią Sprzątającą (**Monika Kuchta**), gdyż w przeciwnym przypadku *Hangar Kultury*, prowadzony przez gościnną **Monikę Klawitter**, zamieniłby się w...

A publiczność ta była bardzo spontaniczna, uradowana świetnym językiem polskim w ustach młodych Ukraińców i rozbawiona układami tanecznymi przygotowanymi przez **Marię Pavlenko**, koncertowo grającą też Kurę 3 (po Bożemu).

To już druga, po farsie *Król umiera*, premiera polsko-ukraińskiego Teatru M.O.S.T. z Bydgoszczy. ♦

Sławomir Mrozek, Serenada, scenariusz i reżyseria Piotr Szymański, Teatr M.O.S.T. przy Świetlicy Ukraińskiej, Premiera 27 maja 2026 roku w Hangarze Kultury w Bydgoszczy.

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.

Cena wraz z przesyłką: 35 zł

Nr konta: 03124011831111001002291025

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

Słowa goryczy

Obecny wiceprezes poznańskiego oddziału ZLP i redaktor naczelny kwartalnika literackiego „ReWiry” - **JERZY BENIAMIN ZIMNY** debiutował jako poeta w piśmie studenckim „Merkury” w 1970 roku, a tomik wierszy pt. „Nokturn” z 2025 roku wydany przez Wydawnictwo Miejskie Poznania, to jego dziesiąta książka poetycka.

Siedemdziesiąt jeden wierszy w „Nokturnie” zostało podzielonych na cztery rozdziały – „Wesołe miasteczko”, „Rubinosa”, „Pocztówki polskie” i „Poziomkowy cmentarz”. Podczas lektury wierszy z tomiku te podziały na rozdziały nie wydawały się sztywne, ponieważ np. wiersze o poezji i poetach można było znaleźć w kilku rozdziałach. Dało się jednak zauważyć, że w pierwszym było bardziej realnie i codziennie, w drugim dominowały wspomnienia i rozmyślenia, a poziomem nieco odstawał od reszty ostatni rozdział.

W „Wyznaniu” poeta próbował ująć własne zapatrywania na pisanie wierszy: „Wiersze piszę, bo słowa mogą zastąpić/kilogram bananów, cukier i papierosy” i wydaje się, że pisanie w przypadku Zimnego zastępowało świat, albo przedmioty mogące ugasić pragnienie. Jeśli Tadeusz Różewicz pisał w „Szkicu do erotyku współczesnego” z tomiku „Twarz”, że „najplastyczniejszym/opisem chleba/jest opis głodu”, czyli ukazywał, że lepiej pisać o odczuciu braku niż o przedmiocie, to w przypadku Zimnego to pisanie, zamieniało się miejscami ze światem. Pismo zastępowało pokarm, nałogi w poezji Zimnego, w poezji Różewicza poszukiwało się przeciwieństw i paradoksów.

Oprócz wspomnianego „Wyznania” kojarzącego się z autotematycznymi wierszami Różewicza, także w innych wierszach Zimny pisał o istocie bycia poetą, poezji i młodych poetach. I czasem kpił z etosu poetyckiego młodych twórców i pisania wierszy, podobnie jak Różewicz np. w wierszu „***dlaczego poeci piją...” pochodzącym z tomiku „Zawsze fragment”. W „Kawiarni Gwarnej” Zimny pisał, że w każdej knajpie powinien być „stolik poetycki”, gdyż poetycka wyobraźnia najlepiej pracowała po „głębokiej wódce”. W „Sądzie nieostatecznym” uważał, że poeci przestali mieć dar jasnowidzenia i obecnie nie przewidywali przyszłości, a w „Busoli bez igły” dodawał, że obecnie w Polsce uznanie zdobywali poeci „pandemicznymi wierszami”. W „Deklaracji” uważał, że „blisko mu na szafot” z młodymi poetami i przestrzegał, że lepiej zajmować się sprawami do „pojęcia” i pisać wiersze-wyznania niż krążyć bez celu. W wierszu „Pod wiatą” ukazywał, że wielu młodych poetów przedwcześnie kończyło pisać, gdyż głównie interesowali się poezją współczesną i spożywaniem alkoholu.

W swoich wierszach Zimny optował za poezją precyzyjną i jasną, zalecał czytanie klasyki, ale podobnie jak wielu młodych poetów uważał, że alkohol pomagał w pisaniu, choć akurat w moim przypadku alkohol raczej przeszkadzał w pisaniu.

Z innych tematów poruszanych

w „Nokturnie” przez Zimnego można było zauważyć pisanie o znaczeniu wiosny w życiu człowieka, bliskich kobietach, czy aniołach. Twórca próbował ogarnąć istotę współczesnego świata i sztuki, wspominał kolegów poetów i innych znajomych, także matkę i rodzinę. Odnosił się do poezji Wojaczka, „Grażyny” Adama Mickiewicza, czy „Ballady” Juliusza Słowackiego.

O ile pisanie wierszy na temat istoty poezji i innych poetów mnie zazwyczaj ciekawiło, gdyż można było podyskutować w myślach z autorem, zestawiać własne zapatrywania na pisanie z zapatrywaniem autora i tak się działo w przypadku lektury jego wierszy autotematycznych, to kpienie z młodych twórców niezbyt wyszło Zimnemu, bo jednak wydawali się bardziej szczerzy w swoich działaniach, choć nie zawsze udanych i nieprowadzących na szczyty poezji i stołki. Także inspirowanie się Wojackiem, kiedy niektóre wiersze przypominały poezję Ozgi-Michalskiego, nie pasowało mi do tej książki, bardziej precyzyjnej i mniej symbolicznej niż pisanie autora z Mikołowa. Jednak w przypadku Zimnego intrygowała precyzja słowa, a także umiejętne trzymanie się tematyki, gdyż jego poezja chłodna i gorzka nie uciekała na manowce wyobraźni i wiersze jego zazwyczaj wydawały się do rzeczy. ♦

Jerzy Benjamin Zimny, Nokturn, Poznań 2025

Zakład Optyczny

AUTORYZOWANA
PRACOWNIA OPTYCZNA
ZAPRASZA

Pn. - pt. 10:00 - 18:00

Sob. 10:00 - 13:00

D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., śr., czw., pt. od 16:00

ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47

GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30

Poszukiwania poetyckie

Pamiętam oryginalny debiut **TOMASZ HRYNACZ**, już na początku swojej niepodległej poezji zwracał uwagę dykcją pozbawioną sztucznego patosu. Był „barbarzyńcą w ogrodzie” głodnym światła. Nigdy jednak nie prowadził pustej gry z językiem, pozostawał zawsze wrażliwy na urodę świata, w którym tragizm jest lekcją pokory.

Ta „barbarzyńskość” nie oznaczała destrukcji ani buntu dla samego buntu. Była raczej próbą wejścia w rzeczywistość bez filtrów, bez literackich masek i gotowych formuł. Hrynaczu nie ufał ornamentowi, jeśli nie wynikał z doświadczenia. Jego język od początku był napięty między prostotą a intensywnością — jakby każde słowo musiało przejść próbę ognia, zanim znajdzie swoje miejsce w wierszu.

W tej poezji wyraźnie obecne jest światło, ale nie jako oczywista metafora ocalenia. Światło u Hrynacza bywa kruche, chwilowe, często ledwie uchwytnie. Pojawia się w detalach: w spojrzeniu, w pejzażu, w nagłym rozbłysku pamięci. To ono nadaje sens doświadczeniu, ale jednocześnie uświadamia jego nietrwałość. Dlatego właśnie wiersze te są tak oszczędne — nie chcą zagadać tego, co najważniejsze.

Bliskość świata nie wyklucza w tej twórczości świadomości jego pęknięcia. Tragizm, o którym mowa, nie ma charakteru katastroficznego, lecz egzystencjalny. Jest wpisany w ludzką kondycję, w przemijanie, w nieuchronność utraty. Hrynaczu nie dramatyzuje tych doświadczeń, nie szuka efektownych rozwiązań. Raczej uczy się je przyjmować — z pokorą, ale bez rezygnacji z uważności.

Ważnym aspektem jego poezji jest również relacja między jednostką a światem. Podmiot liryczny nie dominuje rzeczywistości, nie próbuje jej podporządkować. Przeciwnie — zdaje się słuchać, rejestrować, pozostawać w dialogu. To sprawia, że wiersze Hrynacza mają charakter otwarty, jakby nie domykały sensów, lecz pozostawiały przestrzeń dla czytelnika.

Nie bez znaczenia jest też fakt, że ta poezja rozwija się konsekwentnie, bez gwałtownych zwrotów czy prób redefinicji za wszelką cenę. Hrynaczu nie ulega modom literackim, nie próbuje wpisywać się w dominujące nurty. Jego droga wydaje się raczej pogłębianiem raz odnalezionego tonu — cichego, ale wyrazistego.

W tym sensie można mówić o poezji, która dojrzewa razem z doświadczeniem. Z czasem staje się jeszcze bardziej skupiona, jeszcze bardziej świadoma własnych ograniczeń. A jednocześnie nie traci tego, co było obecne od początku: głodu światła i wrażliwości na urodę świata. To właśnie ta równowaga — między pokorą a pragnieniem — sprawia, że twórczość Hrynacza pozostaje wiarygodna i potrzebna. ♦

T. Hrynaczu, Corto muso, wydawnictwo „Forma”, 2025

A dokąd ludzie tak szybko...?



Po debiutanckim tomie *Romans Beaty Stepanoff i inne wiersze* (2023) **KRZYSZTOF GOŁĘBIEWSKI** wydaje swą drugą książkę poetycką pt. *Ludzie tak szybko chodzą*, będącą kontynuacją języka i pogłębieniem problematyki poprzedniej pozycji. Autor chętnie (i świadomie) nawiązuje do poetyki Nowej Fali – i nic w tym dziwnego, skoro właśnie ten czas kształtował jego świadomość twórczą, debiut prasowy i dalsze publikacje.

Krzysztof Gołębiewski dokonuje zabiegu brzemiennego w skutki. Język „nowofalowy”, który dla jego protoplastów był orężem i narzędziem komentowania rzeczywistości społeczno-politycznej, tutaj współtworzy codzienność: komentuje ją, buduje intymne sytuacje, próbuje rozstrzygać dylematy, odpowiadać na pytania egzystencjalne. Buduje akcję wierszy, a przede wszystkim – sytuacje między Nim a Oną. Autor tomu *Ludzie tak szybko chodzą* nie kryje szwów. Rozmawia z wierszami wczesnego Krynickiego, Barańczaka, Kornhausera. Znajdziemy w książce liczne zabiegi lingwistyczne – płodne, skuteczne w słowie – owocujące wieloznacznością i poszerzeniem pola semantycznego. Gołębiewski chętnie konstruuje tekst poprzez akt zaprzeczenia, skreślenia, degradacji. Zabieg ten – wobec oczywistego utożsamienia tekstu z tzw. „rzeczywistością” – przynosi daleko idące, dodajmy: ku satysfakcji czytelnika, konsekwencje. Tak jak w debiutanckiej książce, opowieść o miłości realizowana jest (oczywiście świadomie) środkami i słowami, które „odbiegają”, a niekiedy wręcz kłóca się z treścią przekazu. Wiersze obdarzają nas opowieściami, anegdotami, odpryskami rzeczywistości. Czytamy teksty zwarte, pozbawione poetyckiego gadulstwa, wzbogacone o elementy fabuły, akcji, teatralnie świadomych gestów i sytuacji. Wszystko to podane zostaje w narracji dynamicznej, często zaskakującej.

Gołębiewski chętnie kreśli swoje wiersze w scenerii miasta. Są to często oniryczne pejzaże jakby ze snu, wspomnienia, marzenia. Miasto jest schronieniem, które jednocześnie „zabiera mi wszystko / co moje”, bo kiedy przyjdzie czas, „ludzie nie zdążą nawet umrzeć” (z wiersza *Na przykład*). „– trzeba zdążyć / zapłacić za zdrady...” (*Samotni razem*). Pejzaże, gesty, motywy katastroficzne podważają nie tylko oczywiste „dzisiaj”, lecz także wspomnienia, które mogłyby stanowić wsparcie, budulec dni i godzin. „Samotni razem”, „grupa Laokoona” – to motywy komentujące sytuację podmiotu lirycznego. Jest to świat tragiczny, ale i – na swój sposób – piękny, niezwykle, godny zatrzymania w słowach.

„Słowami się mylisz / w jaskini nie- / oświeconych / wieloprzysłowych alegorii / ludzkich zdarzeń (może) / zderzeń” (z wiersza *Niby kamieniem*).

Nie brak w książce wizji katastroficznych: „Kiedy nagle / zapadną wszystkie

klamki świata” (*Na przykład*), „Ziemia robi się / coraz bardziej płaska” (*Samotni razem*). Próba ogarnięcia tego świata okazuje się bezsensowna – także w akcie twórczym, w próbie jego zapisu: „Bo co mi z tego przyjdzie / gdy siadę za klawiaturą...” (*Bo co mi z tego – może zaśpiewasz?*). Pesymistyczny ogląd ludzkiego losu osiąga apogeum w utworze tytułowym *Ludzie tak szybko chodzą*, zakończonym trudną do zaakceptowania pointą: „Ludzie tak szybko chodzą / pewnie coś zdrożeje / może i ty najdroższa / bo na ołtarzu tylko Bóg / z wyciągniętymi rękami / po napiwek”.

W tym miejscu recenzja domaga się dopowiedzenia jednego z najważniejszych, a zarazem najciekawszych wątków tomu: relacji damsko-męskich, ukazanych bez sentymentalnych masek, bez romantycznych skrótów, za to z pełną świadomością językowych pułapek. Miłość nie jest tu ucieczką od świata ani schronieniem absolutnym. Jest polem negocjacji – próbą porozumienia w języku, który sam okazuje się niewystarczający, zawodny, skażony kliszami i cudzymi głosami. Relacja „On – Ona” nie układa się w stabilny układ ról. Kobieta nie jest tu ani muza, ani wyłącznie adresatką wyznań. Często przejmując inicjatywę: mówi, ocenia, podważa sens pisanego, ironizuje. Bywa przewodniczką, ale bywa też figurą nieosiągalną, wymykającą się językowi. Mężczyzna – podmiot liryczny – nie występuje w roli zdobywcy ani demiurga. Jest raczej kimś, kto stale traci grunt: sens, argument, metaforę. Pisanie staje się aktem obronnym, a zarazem autodemaskacją.

Erotyka w tych wierszach jest celowo „psuta” – wprowadzana i natychmiast podważana. Zmysłowość sąsiaduje z rachunkiem pierwiastków, czułość z wyliczeniem kilogramów, gest z jego chemicznym rozkładem. To charakterystyczny dla Gołębiewskiego mechanizm: każda próba uniesienia zostaje sprowadzona na ziemię, ale nie po to, by ją unieważnić. Raczej po to, by sprawdzić, czy po odjęciu złudzeń coś jeszcze zostaje. I zostaje – krucha, ale prawdziwa bliskość. Szczególnie wyraźnie widać to w wierszach, w których relacja rozgrywa się w przestrzeni codzienności: kuchni, poranka, zwykłych czynności. *Moja żona pewnego razu nie jest anegdotą małżeńską ani zapisem intymnej scenki. To wiersz o tym, że sens życia – jeśli w ogóle się pojawia – objawia się nie w momentach wzniosłych, lecz „pomiędzy poranną jajecznicą a kubkiem kakao”. Miłość nie ratuje świata, ale pozwala go na chwilę unieść.*

Czytając dalej, pytamy jednak: czy istnieje coś – ktoś – kogo można zaakceptować, ujrzyć z nadzieją, w jaśniejszych barwach? Ktoś, kto powie nam, po co depczemy Ziemię, po co siadamy do klawiatury? Okazuje się, że tak. Odkrycie niby oczywiste – jest jeszcze drugi człowiek, nasz bliźni. A jeśli jest nim kobieta, świat z trudem, bo-

leśnie zaczyna przybierać jaśniejsze barwy, odsłania się od niespodziewanej strony jako piękny i przyjazny. Jak nie ulec temu rozśpiewanemu – na granicy echolalii – wierszowi: „Roz-elo-na / cała wydajesz się / na papier / aż po zakręt słowa / gęsta jak gotyk katedry...” (*O Eli, co uciekła*). Po katastroficznych, pesymistycznych strofach z satysfakcją czytamy *Rozmowę w tańcu itd.*: „pije haustami / cały jedwab i śnieg / przyklepiony do gorącej / szyi...”. Oczywiście, autor nie byłby sobą, gdyby nie próbował „zepsuć” wiersza, dopisując: „– tyle kilogramów węgla / tlenu wodoru”. Ale nawet wtedy apostrofa „Królowo o perlistych palcach...” nie potrafi odebrać nam wcześniej zbudowanego nastroju. Relacja damsko-męska w tym tomie nie prowadzi do harmonii. Jest procesem, napięciem, rozmową, która często kończy się w pół zdania. Kobieta bywa figurą nadziei, ale równie często lustrem, w którym odbija się bezradność podmiotu. To relacja dojrzała – świadoma własnych kosztów i ograniczeń.

Tak jak w poprzedniej książce, poeta chętnie łamie wersy przerzutnią i wzbogaca tekst praktyką lingwistyczną. Jest przecież Gołębiewski debiutantem z tamtego okresu – z czasów spotkań w poznańskim Zamku, kiedy to 22 listopada 1971 roku wydałem na powielacz esej Ryszarda Krynickiego *Czy istnieje już poezja lingwistyczna?* – tekst znany później z publikacji w miesięczniku „Poezja” (nr 12 z 1971 r.). Z tym wystąpieniem polemizował Ryszard Milczewski-Bruno w arkuszu *Do brzucha mowa na tematy wieczne z podtytułem precypitacja lingwistyczna*, datowanym – jak pamiętam – na 15 grudnia 1971 roku.

Druga książka Krzysztofa Gołębiewskiego zwraca się ku czytelnikowi wierszami bardziej odkrytymi, otwartymi, „ocięplonymi”. Ich przewodniczką – bohaterką, aktorką? – bywa często kobieta. „Pisz dalej / – mówi córka oparta o moje ramię – / a ja przewracam kolejną kartkę / kłamstw i szukam metafory...” (*** (*Pisz dalej*)). Kobieta „najdroższa”, ta, która „pewnego razu zrozumiała bezsens życia”, „królewna z kosztownej bajki”, ale i „ciocia Jadzia” z różańcem w ręku. Kobieta-przewodniczka – jakże często myląca i podlegająca skreśleniu.

W tym sensie *Ludzie tak szybko chodzą* można czytać także jako książkę o męskości poddanej rewizji. Męskości, która nie chce już dominować ani pouczać, ale nie potrafi też całkowicie zrezygnować z potrzeby mówienia. Pisanie staje się formą negocjowania własnego miejsca – wobec kobiety, wobec języka, wobec świata, który przyspiesza i nie czeka.

Omaawiana książka jest pozycją atrakcyjną dzięki ciekawemu światu wyobraźni autora, zbudowanemu z obrazów pamięci, cytatów i głosów przeszłości. To świat, który prowokuje i zaskakuje. Narracja dynamiczna i wiarygodna. Niebagatelną zaletą tomu jest także jego czytelność – dostępność dla czytelnika. ♦

Krzysztof Gołębiewski, *Ludzie tak szybko chodzą*, Wydawnictwo FONT, Poznań 2025

Laura Alszer ● Marek Bocian ● Aleksandra Brzozowska ● Norbert Budzyński ● Stanisław Chyczyński
 Nina Ciecuch ● Paweł Czerkowski ● Dorota Czerwińska ● Adam Decowski ● Stanisław Dłuski
 Piotr Dmochowski ● Antoni Dobrowolski ● Katarzyna Dominik ● Krzysztof Gołębiowski ● Alicja Patey-Grabowska
 Natalia Grudzień ● Jerzy Grupiński ● Piotr Wiktor Grygiel ● Jacek Jaszczyk ● Lena Jenaszek
 Katarzyna Grażyna Jeziółkowska ● Wojciech Kajtoch ● Jarosław Kapłon ● Justyna Kasprzyk ● Emilia Komperda
 Katarzyna Kowalewska ● Joanna Hetman Krajewska ● Sławomir Krzyska ● Natalia Kubal ● Kazimierz Kyrz Jr
 Lidia Izabela Lachowska ● Adam Sławomir Lamch ● Marcin Liszkiewicz ● Piotr Lorkowski
 Magdalena Łubkowska ● Michał Łukowiak ● Bogusław Michalec ● Bogusław Michalski ● Renata Mosioneł
 Anita Nowak ● Janusz Orlikowski ● Marian Pajdak ● Bronisław Pastuszewski ● Stefan Pastuszewski
 Zbigniew Pawłowski (Igła) ● Michał Piechutowski ● Marek S. Podborski ● Hanna Rogowska
 Włodzimierz Rutkowski ● Alina Rzepecka ● Marcin Silwanow ● Ilona Słojewska ● Emilia Sypniewska
 Magdalena Świercz ● Wojciech Trzciński ● Mateusz Wabik ● Tomasz Walczak ● Juliusz Wątroba
 Iwona Orzechowska-Wiater ● Grażyna Wojcieszko ● Jakub Ząbkiewicz ● Kacper Ziemiński
 Grzegorz Zientecki ● Stefan Michał Żarów



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



*Dofinansowano
przez Urząd Miasta Bydgoszczy*



FIRMA RODZINNA
PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE
NAJLEPSZA JAKOŚĆ
PRZYSTĘPNA CENA
DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

GRATKA
księgarnia taniej książki

ul. Jezuitska 24 - Bydgoszcz

e-mail: księgarnia_gratka@poczta.onet.pl

tel. (52) 322 62 60

➤ półka ze współczesną prozą
➤ wydawnictwa regionalne



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
 Bogdan Dżakanowski – wydawca, sekretarz redakcji
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
 Paweł Skutecki – redaktor
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
 Sławomir Krzyska – redaktor
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
 85-010 Bydgoszcz, tel. 797 666 895
 ✉ e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Konto:
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025

Drukarnia Color-Print
 ul. S. J. Rolbieskiego 9, 85-862 Bydgoszcz
 tel. 504 473 678, colorprint@colorprint.pl

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak - przewodniczący,
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.

Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Wojciech Karpiński	Danuta Anna Rychlicka
Andrzej Bogucki	Paweł Kuszczyński	Roman Rzucidło
Adam Decowski	Maria Kołodziej	Piotr Szczepański
Zygmunt Dekiert	Krzysztof Konecki	Andrzej Sepioł
Piotr Dmochowski	Bartosz Konopnicki	Anna Skrzypek
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościłkiewicz	Janina Sokołowska
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Jerzy Stasiewicz
Hanna Dyks	Piotr Łączyński	Lech Jerzy Stefaniak
Łucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łączyński	Krzysztof Stępień
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Jolanta Szejka
Andrzej Gierach	Sławomira Barbara Marczyńska	Marek Szulakiewicz
Natalia Grudzień	Kacper Mironiuk	Elżbieta Vetter
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Krzysztof Gołębiowski	Jerzy Nowotczyński	Henryk Tokarz
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Paweł Wacek
Michał i Zofia Hawelko	Jan Organ	Iwona Orzechowska-Wiater
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Tomasz Witkowski
Ryszard Jacek Juszczak	Magdalena Pelczyńska	Joanna Zientecka
Magdalena Kalinowska	Magdalena Podobińska	



9 771429 905009 09